Toruń
Biblioteka
U. M. K.
Toruń
954778

#478

II/34.

# KWESTARZ.

## DRAMAT W 3ch AKTACH

ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANY

PRZEZ

JULJĄ GOCZAŁKOWSKĄ.

№ 391.
3 11

W BOCHNI.
W księgarni i drukiem Wawrzeńca Pisza.
1845.

k114

№ 391.

254778

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

K. 2436/56.

Do tego Dramatu, skréślonego dla towarzystwa lubowników przedstawiających widowiska sceniczne na korzyść Domu Siérót w Tarnowie; najstosowniejszą wydał mi się osnową: wyjątek z życiopisu czcigodnego Boudouina założyciela Domu Dziécіątka Jezus w Warszawie.

## ODDZIAŁ I.

# KWESTARZ.

## OSOBY.

Hrabia Alfons.

Wanda, jego żona.

Guścia, cztérechletna ich córka.

Maria.

Leoś, jéj syn 5cio letni.

Ojciec Celestyn, pielgrzym i przyjaciel ludzkości.

Berta, stara francuzka, bonna Guści.

Tom, pokojowiec Alfonsa.

Wacław, Henryk, } przyjaciele Alfonsa.

Bernard, wyrobnik z Marimonckich młynów.

Jadwiga, żona jego.

Basia, towarzyszka Guści.

*Scena w Warszawie i na Marimoncie.*

## AKT PIERWSZY.

### Scena 1.

*Teatr przedstawia pokój Wandy, stolik okrągły, 2 karła, otomana, gotowalnia, boczne drzwi, okno.*

—

Wanda Alfons piją czokoladę.

**Wanda.**

Nie czujesz Alfonsie goryczy w téj czokoladzie? czy nie z lichenem?... może przez omyłkę.

**Alfons.**

Je vous assure — bynajmniéj nieznajduję — a chociażby i tak było, dla mnie z rączek Wandy; i lichen nawet słodki.

**Wanda.**

Rycerski z ciebie zalotniś mój Alfonsie — mógłby cię ktoś wziąść jeszcze za szambelana Jego Najchrześcijańskiéj Mości Ludwika czternastego .... a nasza Guścia kończy już rok czwarty. — —

**Alfons.**

Parbleu! dziś piąta rocznica zaślubin naszych Wando, mais je vous assure nie jesteś mniéj piękną w moich oczach, ani mniéj serca mego panią; jak to było w dzień samego wesela (odwraca się ziéwając).

Wanda.

Jakże dzień dzisiejszy zamyślasz przepędzić?

Alfons.

Hm.... po śniadaniu; je chevaucherais plus long temps qu' à l'ordinaire — zrobiłem wczoraj zakład z przyjaciołmi o wyścigi jak to wiész — puis... un diner u Rosengarta, puis... un petit somme... partia — a wieczór... może zechcesz jechać razem na operę?..

Wanda.

Miałam nadzieję że dziś dłużéj razem będziemy — i że.... może na chwilkę do kościoła?..

Alfons.

Má chère! to już wyszło z używania — je vous assure ma petite charmante Wanda (całuje ją z lekka).

Wanda.

Czy masz dziś świeżą gazetę?. książki nowe miał nadesłać księgarz.

Alfons.

Są, są, w moim gabinecie — przyszléj sobie i zabierz co ci się podoba — francuzkich tą razą bardzo mało — coś tam z Cornaila, Jean Jaques Roussa.... zacząłem dopiéro — z resztą, same nudziarstwa! te ciągłe Jeremiady de ce Ursin Niemcewicz, Kochanowski, Krasickiego jakiś Podstoli? i cóż nam to potém?..

## Scena 2.

Ciż i Celestyn z karboną.

Celestyn.

Pokój temu domowi... —

Wanda.

Dobry dzień — potrzykroć dobry dzień czcigodny ojcze Celestynie — — —

Alfons.

(poprawiwszy okularów na stronie) Znów się włóczy za kwestą (do Celestyna z przymileniem) Witam, witam — (bierze kapelusz i szpicruttę) vôtre serviteur mon pêre (odchodzi).

## Scena 3.

Celestyn Wanda.

Wanda.

Jakiż znów szczęsny dla ludzkości pomysł sprowadza cię ojcze w nasze progi?

Celestyn.

Pani — człowiek radzi, Bóg prowadzi. Pomysł mój jest wielki, śmiały, a nawet olbrzymi, ale cierpliwość zdoła wszelkie przezwyciężyć trudy; a miłość bliźniego je osłodzić, i uzbroić w wytrwałość mnie nędzną glinianą lepiankę.

Wanda.

Mów prędzéj ojcze Celestynie — zaostrzasz moją ciekawość, albowiem pokora twoja, każe mi przeczuwać wielkość twojego zamiaru.

Celestyn.

Pragnę nadać stolicy naszéj to — czego jéj najwięcéj dotąd niedostaje — schronienie dla sierót.

Wanda.

Myśl szczytna prawdziwie! godna swojego autora — a ten, jéj wykonania.

Celestyn.

Myśl ta od dawna snuła się już po mojéj głowie; lecz niemiałem dość odwagi wyjawienia jéj przed władzami miasta, a bez ich zezwolenia nie wolno działać mi w tém względzie.

Wanda.

Wątpliwości niepodpada że te — pochwaliłyby zamiar ojca Celestyna.

Celestyn.

W każdym razie — i w każdym zawodzie, chociażby najchwalebniejszym, na téj ziemi walczyć trzeba z tysiącem przeciwności — wypadek którego nie dawno naocznym byłem świadkiem, dodał mi otuchy.

Przechodząc jednę z mniéj ludnych ulic miasta, napotkałem brytana niosącego w zębach główkę niemowlęcia, widok ten przejął mnie do żywego!

Wanda.

(łzy ocierając) Ach okropne zdarzenie!....

Celestyn.

Daléj leżały porozrzucane inne cząstki ciałka — zebrawszy je natychmiast, poniosłem do naczelnika miasta, wynurzyłem mój zamiar przedstawiając potrzebę wykonania go jak najspieszniéj, poczém otrzymałem pozwolenie.

Wanda.

O! jak smutne — jak nieszczęśliwe jest położenie biédnych sierót na tym świecie!

Celestyn.

Ileż to niemowląt ginie w ukryciu podobnym sposobem, dzień jego narodzenia, co mówię?

czasem piérwsze jego poruszenie jest oraz wyrokiem jego śmierci. Ach prócz téj — jest jeszcze śmierć inna — gorsza potrzykroć, któréj podpadają niekiedy siéroty, oddane w ręce złoczyńców! Ci żywią ich ciało, a zatruwają duszę, napuszczając ją powoli nieuléczonym jadem występków i zbrodni.

Wanda.

(dobywa sakiewkę z szuflady) Oto jest moja kasa, rozporządzaj nią według twego upodobania czcigodny ojcze.

Celestyn.

Bóg daj! byś Hrabino jaknajprędzéj mogła być świadkiem ulgi którą datek twój przyniesie cierpiącéj ludzkości. Najdzikszy zwiérz w swoim dzieciństwie doznaje rozkoszy pieczołowitości swojéj rodzicielki — człowiek siérota, niezna głaszczącéj ręki téj — która go na świat wydała, swą piersią wykarmiła — niezna jéj uśmiéchu, jeżeli zaś znał go — i pamięta, a utracił bezpowrotnie — tém większa mu biada! Dla niego wszystko jest już obce — pogłaskanie, litością — uśmiéch, zimną jałmużną — ukaranie srogością, ach bo to nie macierzeńskie! Dziécie siérota jest to liść oderwany od drzewa, bez oparcia... którym wicher pomiata w tą i w ową stronę — samotnik wśród świata — wygnaniec, chociaż pośród swoich... a cóż dopiéro mówić o siérotach bez przytułku, odzienia i bez pożywienia?..

Wanda.

Przestań mój ojcze, bo rozdziérasz mi serce.—

Celestyn.

Wybacz pani jeżeli uniosłem się za nadto— ale pragnę napoić, przesączyć jak gąbkę każde serce litością dla biédnych siérót — których los najokropniejszym prawie jest ze wszystkich, jakiemi tylko żelazna ręka przeznaczenia dotknąć może nędznego człowieka.

## Scena 4.

Guścia wpada bocznemi drzwiami, za nią Berta zdyszana.

Berta.

Fi donc Guścia! vous vous enfuiez de la leçon? tra la la tri li li. —

Guścia.

Mamo! mamo!

Wanda.

Cóż to znaczy Berto?

Guścia.

(obejmując rączkami Wandę, kryje twarz na jéj kolanach) Machère Maman!

Wanda.

(sadzając ją na kolanach) Powiédz moje dziécie co ci jest? powiédz Guściu śmiało, otwarcie — bo ty nie jesteś siérotą, ty masz mamę która cię kocha, i niepozwoli źle się z tobą obchodzić.

Guścia.

Mam mamę kochaną i papę. —

Celestyn.

(z westchnieniem) tak, tak, moje dziecko— masz papę!...

Berta.

(na stronie) De nouveau ce jargon polonais (głośno) Madame vous savez que monsieur se fache....

Wanda.

Ale ja chcę Berto żeby moja córka piérwéj mówiła po polsku.

Berta.

Mais Madame gatera tout à fait sa prononciation.

Wanda.

Po co przybiegłaś tu Guściu?

Berta.

Bo jéj sakrosilam — bo niechse uszyć się pozicij, a chse tańszyć.

Wanda.

Odejdź Berto, lekcyą tańcu odłóż na późniéj gdyż chcę jéj być obecną, a teraz niémam czasu.

Berta.

Bon bon, szasu — ce toujours commeça — odejś Berto! et puis hrabia krzyszy, szemu siecko nis nie umié? (za sceną) tra lal.. tri li ..

Celestyn.

(zabiérając się) Komu droga, temu czas — jeszcze mam dziś obejść wiele domów.

Wanda.

Tak żywo przedstawiłeś mi obraz nieszczęścia tych biédnych istot — że wszelki datek z mojéj strony zdaje mi się za mały, w miarę twego zapału i poświęcenia się ich dobru, szanowny ojcze Celestynie.

Celestyn.

Niech tylko wszyscy równie tobie pani okażą się wspaniałomyślnémi, a w krótkim czasie nie ujrzą tułającéj się siéroty w naszém mieście.

Wanda.

Chociażby na najlepszy cel oddać, to tylko, bez czego łatwo obejść się możemy, nieczując przez to w niczém uszczerbku, nieujmując sobie wygód życia, nie jest żadną ofiarą w moich oczach.

Celestyn.

Pani — są ludzie którzy nietylko w wygodach, ale i w zbytkach niechcieliby dla tego celu się poskromić — a niestety! znajdują się jeszcze inni, co i zbywających im od wszelkich zbytków bogactw, nie „w dziesiątéj“ jak nam przykazano — ale i setnéj części żałowaliby odstąpić, dla osłodzenia nędzy, i niedoli bliźniego.

Wanda.

Trudno dać wiarę temu, ażeby w dzisiejszym wieku oświaty, istnieć miały jeszcze podobne płazy w skorupie, zimne samoluby.

Celestyn.

Ach oświata podobno mniejszą połowę serc ludzkich zagrzéwa, a większą daleko oziębia w uczuciach — albowiem to zależy od gruntu w którém bywa wrzucane to zbawienne ziarno, i od wprawnéj ręki tego co zasiéwa.

Wanda.

Pragnę przyczynić się do spełnienia twego pięknego przedsięwzięcia współdziałaniem chociażby w milionowéj cząstce.

Celestyn.

Racz pani przyjąć na siebie kwestę w pewnéj części miasta, a przyczynisz się bardzo wiele.

Wanda.

Najchętniéj — ale mogęż dobrego spodziéwać się skutku; nieposiadając ani części twéj przekonywającéj wymowy mój ojcze?

Celestyn.

„Pukaj, a otworzą ci — proś, a będziesz wysłuchaną — szukaj, a znajdziesz.“ Możesz być spokojną hrabino i pewną że nad wymowę biédnego skołatanego pielgrzyma; więcéj u dzisiejszego świata będzie miał przewagi niemy wdzięk cnotliwéj, i poświęcającéj się niewiasty. (podaje Wandzie papier zwinięty) Oto jest plan przyszłego zakładu, dla okazania pragnącym go poznac (kłania się i odchodzi.)

Wanda.

Do widzenia w krótce mój ojcze Celestynie. (dzwoni.)

## Scena 5.

Wanda Berta.

Wanda.

Berto, proszę cię, każ mi nagotować moją mantilę czarną, i kapelusz z czarnym voilem.

Berta.

Hm... sala szarno.... madame ira na pokrzib funerailles?.. (z obawą) snów kto samarl n'est cepas?



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Wanda.

Nie Berto, bądź spokojną, idę za kwestą.

Berta.

Kwesta?. qu' est cequeça?. aha! fiem, fiem, ce mendier prosić klepa....

Wanda śmieje się.

Nie koniecznie chleba, można kwestować i oco innego, mnie przecież Bogu dzięki niebrakuje chleba.

Berta.

No ja nie myślę sze Madame saras absolument bęsie prosić kleba, i to dla siebie — mais pour les pauvres — tla piédnych comme ces dames là-font na fielki piątek, kwestować c'est mendier, et mendier to prosić kleba po polsku.

Wanda.

Mendier znaczy właściwie żebrać po polsku ja więc pójdę żebrać po niektórych domach, to jest zbiérać piéniądze na założenie domu dla siérót, dla dzieci opuszczonych, które dotąd u nas żadnego niémają schronienia.

Berta.

Niemają szatnego schronienia? o! piédne male creatury! (wyjmuje piéniądz z kieszeni) (na str.) deux florins, twa slote (ogląda na stronie) j'ai besoin de tabac (chowa na powrót) Mais mon Dieu! te piétne male pes schronienia! (wyjmuje dwochzłotówkę i daje Wandzie) Madame raszy acceptować odemnie tę malą bagatel na poszątek, może się poszęści.

Wanda rozżewniona.

Schowaj sobie to dobra Berto, ja włożę inne za ciebie (chce jéj zwrócić.)

Berta.

Non, non, je ne veux pas — chociaż to bagatel, mais te piédne male bes schronienia ach!... Madame floży swoje de votre part, a moje sostanie de ma part, smojéj strony. (odchodzi spieszno.)

## Scena 6.

Wanda sama.

Wanda patrzy za odchodzącą.

Poczciwa stara, obok swojéj śmiészności jedyne ma serce — teraz bolesno mi prawdziwie, że czasem tak sucho, krótko z nią się obéjdę, ale bo też trudno niezniecierpliwić się na tę jéj nudną francuzką fanfaronadę, lekceważenie wszystkiego co polskie. Ach Alfonsie! czyż nie lepiéj byłoby trzymać rodaczkę do naszéj jedynaczki? — Poczciwe kobiécisko, piękną ma wymowę w francuzkim języku — ale też to jedyna i cała umiejętność Berty — a czyżto ma być wszystko — czyż to ma być piérwszą nauką córki szlachcica polskiego?.. przyszłéj matki rodu — obywatelki kraju — i opiekunki swoich poddanych?.. (odchodzi za Bertą.)

## Scena 7.

Maria z pudełkiem kartonowém pod pachą, wchodzi środkowemi drzwiami.

Maria ogląda się z podziwieniem.

I tu pusto.... zdawało mi się idąc, że słyszę głos mówiących osób (stawia pudełko na stoliku, potém ociéra pot z czoła) dziwna rzecz, tak wspa-

niałe apartamenta, a w przedpokoju niezastałam żywego ducha — — — — i tu podobnież głucho.... ach! może i to należy do szczęśliwego przeznaczenia Maryi, że z jéj przybyciem do stolicy najwspanialsze gmachy zamieniają się w odludne pustkowia... dla tego jedynie, że wstąpiłam w ich progi!. Alfonsie, Alfonsie! ileż ja dla ciebie ucierpiałam... i cierpiąc, niezłorzeczyłam losowi.... dla ciebie jakby występna uchodzić musiałam przed okiem ludzi — — — — być pustelnicą pośród świata — — — lecz to zrzeczenie się wszystkiego było dla mnie rozkoszą bo spokojność małżonka mego na niém spoczywała — bo ty przychodziłeś często obecnością swoją słodzić niedolę twéj żony — popieścić twego syna — — — — a teraz (płacze) tak długo niewidziałam ciebie! żadnéj wieści niemiałam od ciebie — — czyliżby i twój wierny Tom miał cię opuścić?.. Myślą nawet gonić niewolno mi za tobą! nie wiedząc gdzie się obracasz — — czy żyjesz... jakieś złe przeczucia strachają mnie w téj stolicy — same zimne nie znajome twarze — ach! gdyby przynajmniéj ten nieszczęsny pożar niebył mię wypłoszył z naszéj spokojnéj mieściny! (zakrywa twarz rękami.)

## Scena 8.

Maria Tom.

Tom nie poznając Maryi.

Cóż tu porabia piękna pani?. (podnosi pudełko ze stołu) na takich stolikach drogich, nie kładzie się wszystkiego — jak wojażowałem za granicą...

Maria.

Tom! nasz wierny Tom! (na stronie) gdzież jestem?. (głośno) niepoznałżeś małżonki twego pana?.

Tom pomieszany, na stronie.

Tam do licha! cóż jéj powiem?. (do Maryi) Pani raczy wybaczyć... ale... to jéj nadspodziéwane zjawienie się w stolicy... a jeszcze mniéj spodziéwane tu przybycie. — — —

Maria.

Pomieszanie twoje coś niedobrego każe mi przeczuwać — powiédz mi proszę! błagam cię!.. może Alfons nie żyje?.. lub może. — — — —

Tom na stronie.

Ach żyje, żyje, tylko nie dla ciebie (głośno) bądź pani zupełnie spokojną, pan Alfons żyje.. i to żyje jedynie dla niéj jak wprzódy, tylko... małe nieporozumienia familijne (na stronie) aj drzę cały, żeby nienadszedł, lub wcale sama hrabina (ogląda się z obawą.)

Maria.

Ach mów prędzéj, mój dobry poczciwy Tomie! jakie nieporozumienia?. nie taj nic przedemną — jestem na wiele — wiele przygotowaną.

Tom na stronie.

Tego mi trzeba właśnie (głośno) rozkazujesz pani, więc cię objaśnię w krótkości — bo niemamy wiele czasu do stracenia. Ojciec i cała rodzina hrabiego Alfonsa nalégali na niego, ażeby się żenił z hrabiną Wandą, młodą i bogatą wdową, jak to pani dawniéj już sam cokolwiek nadmieniał. Hrabia jak mógł tak ich pozbywał

obietnicami, lecz gdy te im się uprzykrzyły, ojciec powstał serio na niego, zagrażając wydziedziczeniem. Pan mój zważając jakie skutki za sobą pociągnie dłuższe jawne opiéranie się (bo znana pani gwałtowność i duma starego hrabiego) przychylił się na pozór do wszystkiego... zaręczył się z hrabiną Wandą, poczém miał zamiar wyjechać na parę miesięcy do kąpiél, a témczasem pospieszyć do ciebie pani dla uwiadomienia jéj o wszystkiém i naradzenia się wspólnego, co daléj począć wypadało, lecz ojciec jakby uwiadomiony skrycie o bliskich syna stosónkach z panią — od dnia do dnia już przez parę miesięcy zwłóczy jego wyjazd, nalégając, ażeby w przód z hrabiną Wandą formalne zawarł śluby.

Maria blednieje i siada.

I cóż... mój dobry Tomie!.. i cóż Alfons czy przystaje na to?.. czy (pociera sobie czoło) czy — czy Wandę?...

Tom wpadając jéj w mowę.

Czy ją kocha? bynajmniéj pani — owszem nie lubi jéj, nie może myśleć ani mówić, jak tylko o pani (na stronie) sprobuję, może przystanie na rozwód (głośno) ale moim lichém zdaniem... bo przecież to ja, chociaż tylko jestem sługą, ale przecież wojażowałem za granicą, może dla obojga państwa byłoby lepiéj... hm... rozłączyć się...

Maria przerażona.

Rozłączyć? nigdy! przy boku Alfonsa wszelkie dolegliwości niczém będą dla mnie — (z obu-

rzeniem) rozłączyć?!. cóż wyrzekłeś niebaczny! czyż zapomniałeś, że połączeni jesteśmy prawym ślubem... którego bez naszéj woli żadna moc ziemska rozwiązać nie jest w stanie! Alfons na tenczas był wolnym i pełnoletnym.

Tom kryjąc śmiéch na stronie.

Tak prawy ślub dawał dziad za kapucyna przebrany (do Maryi) ale... z wspólną wolą dobrowolny rozwód — — pan Alfons wyperswadowałby sobie może z czasem, a pani — — — (poprawia sobie włosów i głaszcze faworyty) zapomniałabyś także.... i... byłabyś spokojną i szczęśliwą przy boku innego (na stronie) na przykład ze mną.

Maria.

Zapominasz Tom, że mówisz z żoną prawą twego pana.

Tom na stronie.

A ty nie wiesz, że jesteś w pokoju prawéj żony tego twego męża, (do Maryi) niech panią życzliwość moja nie obraża... mówię to z dobrego serca — — może i Pan...

Maria.

Ach przestań zaklinam Cię! za daleko posuwasz twoją gorliwość i dobre życzenie (po chwili cichéj walki) z resztą — Alfons jeżeli ma coś ważnego mi udzielić, niech przybędzie sam — mieszkam na Marimoncie u starego Bernarda (zabiéra pudło i chce odéjść.)

Tom zatrzymując ją.

Jeszcze chwilkę pani — albowiem mam jéj coś bardzo ważnego powiedzieć. Jeżeli panią

cokolwiek obchodzi spokojność mego pana, i jéj własne szczęście, unikaj pani ludzi — niezwierzaj się nikomu — nie wychodź wcale z swego pomieszkania. Uwiadomię natychmiast pana Alfonsa aby sam pospieszył na Marimont do niéj — zaklinam Cię tylko pani! niepokazuj się w mieście, a szczególniéj w tym domu, bo to właśnie jest pałac hrabiny Wandy.

Maria przestraszona.

Co mówisz!. pałac hrabiny Wandy? i ty śmiész mnie tu zatrzymywać? może nadéjść ach!. nie zniosłabym jéj widoku! (porywa pudło i wybiéga) uchodźmy z tąd — uchodźmy... (we drzwiach spotyka Wandę) ha!....

## Scena 9.

Wanda ubrana czarno, z torbą kwestarską, spotyka we drzwiach Marią — Tom cofa się ku drzwiom — niepostrzeżony od Wandy wychodzi na palcach, późniéj uchyla drzwi i podsłuchuje rozmowy, tak że mu tylko kiedy, niekiedy widno głowę.

Wanda z podziwieniem.

Cóż to znaczy? czego żądasz kochanko.... kto cię tu wprowadził?. (na stronie) jak piękna twarz!

Maria w największém pomieszaniu.

Ach!. pani... nagła i ostateczna potrzeba przywiodła mnie z mego ustronia do miasta... do twego pałacu... a nie zastawszy na wschodach ani w przedpokoju nikogo ze służby, ośmieliłam się wnijść sama do tego pokoju (na stronie z boleścią) jakże miła i zajmująca!

Wanda.

Nikogo na wschodach ani w przedpokoju?. ach co za niepożądek!. właśnie miałam wyjść — ten Tom coraz...

Maria.

Jeżeli panią to obraża albo jéj przykrość sprawia, oddalę się natychmiast. — — —

Wanda łagodnie.

Zostań moje dziecko — obecność twoja nie jest mi natrętną, tylko to zaniedbanie się ludzi — dziwi mnie i dręczy... (na stronie) ale to wszystko idzie za przykładem i postępowaniem jego... (do Maryi) Cóż nosisz w tém pudełku?

Maria.

Drobne robótki, z których się utrzymuję, (otwiéra pudło) oto są sakiewki — woreczki damskie, cygarniczki, ściągi do rękawiczek i t. p. (wpatruje się chciwie w Wandę na stronie) ach mógłby ją kochać!..

Wanda zdejmuje kapelusz i ogląda roboty.

A cóż znaczy ten pierścień? (ogląda go starannie.)

Maria na stronie.

Może teraz obeszłabym się bez sprzedarzy, ale cóż jéj powiem (głośno) równie do sprzedania jeżeli pani się podoba. — — —

Wanda kryjąc niepokój.

Piękny — jakaż cena?

Maria na stronie.

Podam wysoką, to się niezgodzimy (głośno) cztéry dukaty, ma jeden raut, dwa tafelsteiny, i dwa szmaragdy.

Wanda na stronie.

Ten sam niezawodnie, litera W. jest pod spodem, (głośno) czy złotnik go taksował?. może był oraz w chęci nabycia go od ciebie?

Maria.

Tak pani — chciał go kupić, ale ja miałam wtenczas nadzieję, że może zdołam zatrzymać go przy sobie.

Wanda.

Dla tego zapewne podał ci fałszywą cenę, bo ten pierścień wart jest sześć dukatów — ja niechce korzystać z twojéj niewiadomości moja miła, i zapłacę ci według istotnéj wartości.

Maria z radością i smutkiem w raz.

Ach pani tak jesteś łaskawą...

Wanda rachuje Maryi pieniądze na stoliku, pierścień wkłada na palec.

Mówisz, że pragnęłaś zatrzymać go przy sobie, dla czegóż to?. czyli jaka droga pamiątka... dawnoż go posiadasz i od kogo?.

Maria po chwili milczenia i namysłu.

Pani — ta tajemnica nie jest moją, pozwól mi zatém zamilczeć ją, lecz oraz błagam cię na wszystko, chciéj wierzyć, że nie nabyłam go podłym ani lekkim sposobem, istotnie jest on mi drogim — bardzo drogim! ale niepodobna oprzeć się dłużéj ostateczności.

Wanda.

Ale to może wolno ci wyjawić przedemną, co cię tak mocno dolega i gnębi, powód téj ostateczności?.

Maria.

Mieszkałam w małéj mieścinie, o trzy mile odległéj od stolicy — utrzymując się po największéj części z robót. W same święta wielkanocne wybuchnął okropny pożar, któren pomimo największego ratunku, ogołocił kilkaset najnieszczęśliwszych istot z wszelkiéj żywności, odzierzy, i schronienia! do tych nieszczęśliwych los i mnie policzył, straciwszy moje szczupłe mienie, zaledwo z życiem wyniosłam to pudełko z robotami, i ten pierścień z którym dotąd nierozłączałam się nigdy.

Wanda.

Smutny wypadek! dziwi mnie że dotąd niéma ogłoszenia o nim w pismach publicznych, zachęcenia do składek i t. p.

Maria.

Wszystko to nastąpi zapewne z czasem, ja jednak niemogłam spuszczać się na to — bo chociaż ludzkość dobroczynna, szczęśliwszych, i możniejszych sąsiadów z okolic, nieomieszkała pospieszyć, niosąc zasiłek swoim zgłodniałym współbraciom rozpaczającym wśród zgliszczów i mogił popiołu usypanych na miejscach ich siedziby; lecz żywność nadsełana, wystarczała zaledwo dla dzieci, kalék i starców — podobnie będzie i ze składkami, i pieniądzmi, bo czyż podobna tylu licznym familiom powrócić to, co utraciły?. zaopatrzyć je w niezbędne potrzeby — — — a teraz gdzież jeszcze dla nich schronienie przed srogością ostréj zimy!.

Wanda.

Znajdą się zapewne ludzie co pomyślą i o tém (na stronie) to niemoże być fałszem — uwiadomię ojca Celestyna.. (do Maryi) Jakże się zowiesz kochanko?

Maria.

Imię moje... Maria.

Wanda.

A daléj?

Maria boleśnie.

Ach! i tego wyjawić mi nie wolno!

Wanda.

Szanuję twoją tajemnicę Mario — i chcę wierzyć twoim słowom, bo zanadto odkrywam godności w twoim postępowaniu, ażebym o uczciwości powątpiéwać miała.

Maria ściska ręce Wandy.

Pani! zdjęłaś wielki ciężar z mego serca, wspomnienie twojéj dobroci, osładzać będzie moją niedolę, o gdybym mogła wynurzyć się przed tobą pani, a przynajmniéj widywać cię czasem. — — — —

Wanda.

I cóż wzbrania ci Mario widywać mnie niekiedy?

Maria.

Ach pani! i ta przyjemność nie dla mnie! — mieszkam na Marimoncie — utrzymuję się z robót — więc czas dla mnie drogi — a przytém unikać muszę ludzi... bo mi wiele na tém zależy (zamyka pudełko i zabiéra się odejść.)

Wanda

po chwili długiego namysłu.

Może ci Mario bardzo bolesno rozstawać się z tym pierścieniem..? (na stronie) gdybym jéj go też oddała — i te sześć dukatów zostawiła (głośno) kiedy to tak droga pamiątka...

Maria.

Konieczność przezwycięża wszelkie podobne uczucia — (na stronie) ach gdyby nie moje biédne dziecko!..

Wanda na stronie.

Zkąd ona mieć go może?. zapewne zgubił ktoś znalazł... (głośno) smutna konieczność.... (na stronie) jakże jéj po prostu ofiarować jałmużnę... przytem trochę za dużo (do Maryi) ja zachowam go u siebie — a gdy będziesz przy pieniądzach, znajdziesz mnie w każdéj chwili gotową do oddania go na powrót, (na stronie) muszę wprzód przekonać się o niéj.

Maria ściska jéj kolana.

Zanadto wspaniałomyślności! (chce odejść.)

**Scena 10.**

Alfons, Wanda, Maria.

Wanda.

odwrócona plecami do drzwi, zbiéra włóczki i nakrywa robotę w krosnach mówiąc do siebie.

Mieszka na Marimoncie -- tak, najlepiéj przekonam się sama.

Alfons

wchodząc niepostrzeżony od Wandy, spotyka Marią

Ha! (cofa się, na stronie) Maria tu! czy mnie

oczy zwodzą!.. cóż to ma znaczyć? (chce wyjść na powrót).

Maria

postrzegłszy Alfonsa, staje przerażona i upuszcza pudło.

Alfons!!.

Alfons

przerywa jéj nagle kładąc palce na ustach — potém składa ręce błagając milczenia — to wszystko odbywa się szybko.

Wanda odwraca się.

Co ci jest Mario? (spostrzega Alfonsa) dla czegóż tak wcześnie, czy wyścigi źle wypadły?..

Maria.

kryje twarz zmieszana, uklękła na ziemi zbierając porozrzucane drobiazgi.

Nic pani ——— to moja niezręczność ——— upuściłam pudełko, i to mnie przestraszyło.

Alfons.

Non Madame (przechodzi obojętnie koło Maryi) odłożyliśmy na późniéj (staje w oknie wygląda na ulice i nuci sobie pod nosem.)

Wanda.

Cóż przecie dało powód do téj zwłoki, już tak z pewnością było wszystko ułożone?

Alfons

nie odwracając się od okna.

Il fait trop chaud, ce jour ci —— (nuci daléj bijąc takt nogą).

Maria.

wstaje pomieszana i kłania się z uszanowaniem.

Żegnam cię pani, zapewne na długo, a może i... na zawsze.

Wanda.

Nie Mario, ja mam nadzieję że w krótce, do widzenia.

Maria na stronie.

Ach prędzéj nigdy (odchodzi.)

Alfons

odwraca głowę nie zmieniając postawy.

Adieu! adieu! (odprowadza z niespokojnością aż do drzwi oczyma odchodzącą Marią.)

## Scena 11.

Wanda, Alfons.

Alfons.

chodzi po pokoju poglądając z boku na Wandę.

Vous êtes trop accetable Wanda — nieumiész zachować tonu przyzwoitego twojemu znaczeniu... wpuszczać do swego pokoju une pareille fillette... fidonc!

Wanda.

Mój Alfonsie, porzuć tę światową dumę proszę cię na wszystko — niemogę znieść téj lodowatéj aristokracyi, wiedząc że w gruncie niémasz złego serca.

Alfons.

Bah;. la femme prêcheur! (śmieje się) no, no, będe słuchał tą razą (na stronie) odżyłem bo widzę że nic nie wié.

Wanda.

Ty drwisz Alfonsie z mego sposobu myślenia, bo się nie we wszystkim zgadzam z twoim.

Alfons.

A cela près — nous sommes d'accord — ale

zastanów się — Comtessa z tak wysokiego jak ty rodu; piérwszą lepszą dziéwczynę z ulicy. — —

Wanda.

Proszę cię Alfonsie, wytłomacz mi to jasno, dokładnie i bezstronnie, czemu ja niémam mówić łagodnie z człowiekiem nie inaczéj stworzonym odemnie, z kobiétą, która może i nie mniéj posiada odemnie rozumu i delikatnego uczucia?.

Alfons.

Krótki i bardzo jasny wywód — że ty jesteś Comtesse z comtessów — Bóg wié odkąd? a ona une ouvriere z ouvrierów zapewne.

Wanda.

Więc to jest ten jasny i niezachwiany powód? wybacz Alfonsie — ale teraz, ja śmiać się będę, więc ja mam prawo i powinnam nią pogardzać, a to dla tego że ja przez kaprys losu byłam przeznaczoną od pieluch żyć w wygodach nic nierobiąc, odbiérać pokłony od wszystkich, sama niewiedząc za co?. przyodziéwać się płaszczem zasług i chwały nie przezemnie ale przez nadziadów moich nabytym — a ona przez ślepotę téj saméj fortuny skazana do pracy pożytecznéj zowie ojcem lub dziadem swoim tego co robił obuwie, lub ciężkim młotem tłukł kamienie na gościńcu, i to dla cudzéj wygody, bo sam piechotą chodził.?

Alfons.

Une ouvriere delikatne uczucie?.. ha! ha! twoja filozofia Wando szokuie, je vous assure (rzuca się na sofe) ach te parisienki wyśmienite siedzenie na gorąco, chez nous nic podobnego

nigdy wymyślić nie są w stanie — ten safian chłodzi si doucement.

Wanda.

Ja wychodzę Alfonsie — czy zechcesz mi towarzyszyć?

Alfons.

A pareille heure... dokąd?

Wanda.

Właśnie stosownie do kwesty.

Alfons.

C'est bien ennuyant ma chère (na stronie) może znów spotkać Marią pójdę lepiéj (głośno) no chodźmy, je veux vous accompagner.

Wanda.

Jestem gotowa (na stronie) z kądże ta szczęśliwa zmiana.

Alfons.

wstając postrzega dukaty, które Maria zapomniała na stoliku.

Qu'est ce que ça veut dire?.

Wanda troche pomieszana.

To biedna Maria zapomniała. —

Alfons z udaném podziwieniem.

Maria — — quelle Maria?..

Wanda.

Ta co wyszła dopiéro.

Alfons.

Hm... Mistriss n'est pas à court d'argent jak widzę (woła) Tom!

Tom.

Jestem Panie.

Alfons.

Biegaj za tą dziewczyną co wyszła z tąd

przed chwilą z pudełkiem kartonowém, i oddaj jéj te pieniądze, które tu przez zapomnienie zostawiła, zowie się Maria rozumiész, (z przyciskiem) Maria.

Tom ze znaczeniem.

Rozumiem doskonale panie! przecież wojażowałem za granicą....

Wanda wychodząc.

Pójdę powoli naprzód.

Alfons.

Allez allez, pospieszę za tobą dans une minute — (przymyka drzwi i mówi do Toma z pośpiechem) Jest to Maria którą znasz — idź i dowiédz się poco tu przybyła do stolicy?. może potrzebuje pieniędzy — powiedz jéj, że niepodobna widzieć się ze mną — że ojciec... familia...

Tom.

Już już panie — wszystko ułatwiłem, powiedziałem, przekonałem, bo najprzód wszedłszy do pałacu, mnie spotkała. Powiedziałem, że to jest pałac hrabiny Wandy, narzeczonéj pana — że ojciec naléga — że pan go łudzi — powoduje się niby — ale nie lubi Wandy — żeby tu się więcéj niepokazywała, ani w mieście... ani nigdzie zgoła — proponowałem rozwód z swojéj strony — niechce słyszeć — żąda widzieć pana — miészka na Marimoncie u starego jakiegoś Bernarda.

Alfons niespokojny.

Nie mogę dłużéj, zostaw sobie te pieniądze — będę sam u niéj, oddam inne.

Tom się kłania, Alfons wybiega.

## Scena 13.

Tom sam.

Tom

rachuje pieniądze, chowa do kieszeni i zaciéra ręce.

Hm.. dobrze wojażowałem za granicą (podnosi głos) za granicą wojażowałem, ale dalipan nigdzie na tak piękną nienatrafiłem awanturę, jaka się dziś u nas poczyna, bo co to mospanie — tu żona i córka w czwartym roku, a tam znów niby żona i synek pięcioletni — i te obie panie spotykają się z sobą niewiedząc, że jedna drugiéj w krótce ustąpić będzie zmuszoną — która też ustąpi?. ba — Tom wojażowałeś za granicą, a niewiész, że uboższa, naturalnie — pomijając już to, że nieprawa, (chodzi myśląc) biédna Maria! to pieścidełko, za którą to ja tyle się natłukłem na szkapie, pocztą, extrapocztą — delizansem — i czort nie wie jakim equipażem — dopokąd nie udało się otumanić serduszka i na swoje przekabacić — ale diabła się tam przekabaciło — toć to harde i uparte dziéwcze o niczém słyszeć nie chciało, głuche na podchlébstwa, obietnice, przysięgi, prożby, ślepe na prezenta, łakocie, cacka, błyskotki, tylko swoje to zawsze paplało że: „skoro mi pan Alfons przy ołtarzu wiarę poprzysięże, to zaufam jego zapewnieniom i zostanę jego żoną.“ — No toć się téż i tak stało — a że pani hrabinie ksiądz biskup ręce wiązał, a pannie Maryi (z cicha) dziad przebrany za kapucyna, co to szkodzi?. jak tamten tak i ten odmówili, co przy tém akcie jest potrzebne —

a jak tam w niebie te obie przysięgi się pogodziły, i nadal pogodzą?. hm.. to do mnie Toma, co wojażowałem za granicą — do mnie pokojowca pana Alfonsa a na jego rozkaz świadka ślubu nic a nic nie należy. Zawczasu umywam ręce jak Piłat w Credo — o tak! umywam mosanie — ale cóż ja to miałem mówić?. aha! co się też z tą nadobną Marysieńką teraz stanie? hm... gdyby też ——— ależ mój honor kawalerski ——— ambicya ——— éj bierz licho! — gdyby się opłaciło — bo jużcić pan Alfons sypnąć będzie musiał, jeżeli zechce sprawę zatrzéć — to niechby tam nareszcie dostąpiła tego honoru, i została ——— panią Tomową ——— co? hę?. alboż nie honor? ba! ba! ba! nie takie jak wojażowałem za granicą mizdrzyły się do mnie (poprawia przy toilecie czuba i wyczesuje szczotką faworyty) alboż to ja nieprzystojny wcale mężczyzna sobie jestem? tak więc (stoi z napuszoną miną) te ręke ofiaruję tobie Mario! notabene jeżeli mieć będziesz odpowiednie wiano, dla ciebie, syna i mnie — bo ja co wojażowałem za granicą, nie przyzwyczajon jestem pracować jak muł dla jakiejś tam żony, i bardziéj jakiegoś tam dziecka. — Ja sobie jestem bon-vivant — potrzebuję piéniędzy — więc zgoda! teraz trzeba nam się zakrzątnąć około tego interesu, żeby pana uwolnić od niepotrzebnego już ciężaru w ten sposób, że się jéj zagrodzi wszelką na dal sposobność widzenia się z hrabiną, to primo — secundo, jako ambasador będe z nią w imieniu pana mego negociował, aby na rozwód przysta-

ła — tercio, namówimy pana, aby jéj jako odczepne przeznaczył pożądną remuneracyą — kwarto, przedstawimy jéj w ostatku swoją personę, jako kandydata na małżonka i pana — (skacze) brawo Tom! brawo! wszystko pójdzie dobrze, tylko chytro a mądrze (wybiega podskakując.)

*Zasłona spada.*

## Koniec aktu piérwszego.

## AKT DRUGI.

### Scena 1.

*Uboga izdebka w domu Bernarda, Maria siedzi przy łóżku na którym Oleś zasypia.*

—

**Maria** oganiając dziécie gałązką.

O! nieprzerywajcie jego spoczynku wy małe czarne skrzydlate wrogi! miejcie litość nad dziécięciem.... lecz mój Boże! jakże od was bezrozumnych robaczków żądać wyrozumienia, litości, kiedy u ludzi ich nie znajdzie — u ludzi mądrych — uczonych — bogatych — i tam niéma czułości!. i tam serca z kamienia! w tym świetnym wielkim świecie! wszystko jakby z lodu, błyszczące, zimne... Oni i jego zamrożą z czasem, o! już go oziębili — jakież to było dziś spotkanie się nasze chociaż tak niespodzianie po tak długim czasie niewidzenia się — to wyrachowanie z jego strony — ta baczna oziębłość, jak gdyby uprzedzonym był o mojéj tam bytności — i przygotowany na to spotkanie. Alboż ja jestem mniéj uczciwą od téj którą mu za żonę przeznaczają?. alboż Wanda ma więcéj zasobów do kochania w swojém sercu odemnie?. ach nie — nie! czuję że mnie nikt w tém nieprzewyższy! — że jest piękną — to prawda, ale Alfons powta-

rzał często że niezna piękniejszéj odemnie w całym tym wielkim, a dla mnie tak obmierzłym świecie! (po chwili żałośnie) może téż dawniéj, wydawałam mu się taką — dziś — — — może to już minęło — i piękność, i upodobanie osłabione tylu przeciwnościami — Wanda jest piękna — cnotliwa, bogata — wysokiego rodu — mogłaby go uszczęśliwić — gdyby niemiał rąk przezemnie związanych .... Tom nadmienił mi o rozwodzie — och! jeżeli Alfons na to przystanie ... jeżeli tego do jego szczęścia koniecznie potrzeba! ale cóż to biédne dziecko, ta siérota natenczas będzie znaczyć na świecie (porzuca gołązkę, zakrywa twarz rękami opierając łokcie na stoliku.)

## Scena 2.

Maria, Alfons.

Alfons

staje w progu oglądając się z niepewnością.

Czy nieomyliłem się?..

Maria zrywa się.

Alfonsie! o mój luby, drogi Alfonsie! niezapomniałżeś więc o twojéj Maryi (rzuca mu się na szyję.)

Alfons

ściska ją z roztargnieniem, oglądając się w koło pomieszany.

Mario! czyś zwątpiła o moim przywiązaniu?..

Maria.

Ach mój drogi, po tém spotkaniu się naszém u hrabiny Wandy, czyż mogłam sądzić .... ale co tam to wszystko zapomniane kiedy tu przyszedłeś.

Alfons.

Przecież Tom uprzedził cię o wszystkim — że mnie chcą gwałtem żenić... że musiałem (przeciągle) zaślubić, co mówię! zaręczyć się z Wandą.

Maria.

A mimo tego wszystkiego że pozostajesz wiernym twojéj biédnéj Maryi — i pogardziłeś świetnemi pałacami Wandy — i przyszedłeś odszukać Marią w nędznéj chatce — widzisz jak mi tu dobrze — — wygodnie — — jaka pożądna i miła, choć niewielka stancyjka — to nieprzyjemnie że mieszkam razem z gospodarzami, ale to są dobrzy ludziska, jak idą równo ze wschodem do swojéj pracy on do młyna, ona znów gdzie indziéj to nie przyjdą tylko zieść raz dnia — i spać na noc. Za to mniéj płacę — i w zimie mniéj opału potrzebować będę.

Alfons

oglądając się do koła z politowaniem, i mimowolnym wstrętem.

Wieleż płacisz Mario tym ludziom (na stronie) jakaż tu nędza!

Maria.

Ach zgaduję Alfonsie za czém się oglądasz, czego ci brakuje — pewno ci tęskno że nie widzisz twego syna? (biegnie i budzi dziecko) wstań Leosiu wstań — chodź popieścić twego kochanego tatę.....

Alfons wstrzymuje ją.

Daj mu pokój Mario — ja mogę i śpiącego popieścić, przypatrzeć mu się (głaszcze Leosia patrząc się na niego) pięknie się chowa, urósł zna-

cznie, ale nietrzeba go budzić bo ... bo jeszcze mamy wiele do pomówienia z sobą.

Maria.

O! niebędę ci przerywać -- mów mój Alfonsie, niech twa mowa trwa rok cały — ażebyś jaknajdłużéj był z nami — niewiesz jakie niebezpieczeństwo zagrażało naszemu synowi — cała mieścina nasza zgorzała najokropniéj! mój schludny biały domek — gdzie tyle wycierpiałam niepokojów, przebyłam trosków — łez wylałam — nim dostąpiliśmy szczęścia połączenia się na zawsze ślubem niezachwianym (Alfons odwraca mimo woli głowę) gdzie Leoś, jak błogosławieństwo nieba zesłany na nasz związek ujrzał po raz piérwszy światło dzienne. — —

Alfons coraz więcéj niespokojny.

I cóż ten domek Mario?.

Maria.

Ten domek uleciał z dymem! i z całego dobytku zaledwo podołałam uratować spiącego na tenczas Leosia — a dziś w miejscu naszych cierpień, łez i szczęścia, maleńki kopczyk popiołu!. ach wybacz mój Alfonsie, ale opuszczając go, gdy wybiérałam się do Warszawy, tak mi było bolesno — zdawało mi się, że z tym domkiem spłonęło całe moje szczęście i spokojność — że pogrzebane zostały pod tą mogiłą popiołu!. (ociéra łzy.)

Alfons

rozczulony i wachający się razem, w pół ją obejmuje.

Mario! z kądże te smutne urojenia....

Maria.

To nieszczęście było powodem, że musiałam przenieść się do Warszawy, zostawszy ogołoconą z wszelkiego sposobu do życia.

Alfons.

To właśnie o co chciałem cię najprzód zapytać, po co tu przybyłaś i z czego się utrzymujesz?. teraz wiem już i piérwsze i drugie (oddaje Maryi sakiewkę.) Tu jest sześć dukatów, które odeszłaś u hrabiny Wandy.

Maria pomieszana.

Ach prawda! (na stronie) jakże mu powiem za co te piéniądze...

Alfons.

A reszta Mario — do twego rozporządzenia, najmiesz sobie inne pożądniejsze pomieszkanie — żebyś mogła mieć dwa pokoiki sama dla siebie bez świadków, dziewczynę do posługi — ale Mario! zaklinam cię! bądź ostrożną, odsuń się jeszcze daléj na koniec przedmieścia.

Maria.

A długoż jeszcze trwać będzie to ukrywanie się Alfonsie?.

Alfons.

Ach Mario! nie pytaj mnie o to — wiész jak mój ojciec jest surowy, podejrzliwy, trudny do zmiękczenia — żyjmy raczéj dziś — niepytając się o jutro — bo jutro... może nam odkryć wiele smutnych rzeczy — oddalenie... rozłączenie...

Maria przestraszona.

Uczynię wszystko co zechcesz mój Alfonsie, byleś tylko był szczęśliwy, i syn nasz przy tobie!.

Alfons na stronie.

Może teraz możnaby jéj zaproponować rozłą... (głośno) Mario! dobra Mario! (na stronie) ach jak to przykro!

Maria.

Alfonsie — porzuć te smutne myśli — wszak sam dopiéro powiedziałeś: „cieszmy się dniem dzisiejszym nie myśląc o jutrze“ (zdejmuje ze ściany harfę) widzisz nastrojona, otarta z kurzu, z tą samą niebieską wstążką, jak ją sam raz ostatni zawiązałeś (podaje mu) proszę cię chciéj mi coś zaśpiéwać — a słysząc twój luby głos, dopiéro przeniesiem się oboje myślą i uczuciem w szczęśliwsze upłynione chwile. --

Alfons próbuje stroić (na stronie.)

Ha! może śpiéwając uda się łatwiéj coś napomknąć (śpiéwa.)

Kiedy zmuszoną będziesz mnie porzucić, *)
Jeżeli serce zachowasz w kochaniu,
Rzucając nawet nie chciéj mnie zasmucić,
I rozstając się — nie mów o rozstaniu.
Przed smutném jutrem niech jeszcze z wieczora,
Ostatnia znijdzie na pieszczotach chwilka,
A kiedy przyjdzie rozstania się pora....

Maria przerywa mu z obawą.

Cóż to znaczy Alfonsie?.. ty ciągle śpiéwasz o rozstaniu. — — —

Alfons.

Nic — nic, to fantazya, (na stronie) nie — dziś

*) Z M.

niepodobna! (do Maryi) może to przeczucie — — ale nie mogę dziś nic wesołego pomyśleć.... może jutro... (rzuca gitarę, chwyta kapelusz i szpisrut.)

Maria.

Już mnie porzucasz?.. ach, do jutra tak daleko!..

Alfons.

Mario — ustawy światowe — mam dziś być na wieczorze u hrabiny Wandy — do jutra więc (ściska ją i wybiega.)

## Scena 3.

Maria sama.

Maria

patrząc z boleścią za Alfonsem.

Ach! te ustawy światowe robią Ciebie niewolnikiem! te nieszczęsne ustawy światowe każą ci się wstydzić prawéj żony i twojego syna! a w końcu... może ci jeszcze każą wyrzéc się — i zapomnieć całkiem o nas! — Mniejsza o mnie — Maria dla szczęścia Alfonsa na wiele się odważy — ale nasz biédny Leoś — — za cóż on niewinnie ma cierpieć?. za co on widzieć ma zamknięte na zawsze przed sobą ramiona szérokiego świata — jak pasierbię zimne objęcia macochy? — — Och nie Alfonsie! z Marią rób co ci się podoba — ale pamiętać o synie, jest to piérwszym moim i twoim obowiązkiem. (siada i bierze robotę.)

## Scena 4.

Maria, Bernard, Jadwiga, Leoś śpiący.

Bernard

wchodzi zmęczony cały, a szczególniéj kapelusz ubielony i pogięty — w kaftanie, u koszuli rękawy pozawijane.

Dobry wieczór moja panno (spostrzegłszy śpiącego chłopca) a! czy tam pani przepraszam, bo mnie to zawsze chuczy w głowie jak we młynie.

Maria.

Dobry wieczór mój gospodarzu. —

Jadwiga.

Coś nam pani smutna, czy nie chora?. oczki jakoby zapłakane...

Bernard.

Nojno Jago przynoś jadło... bom głodny jak biés — w tym młynie to się człowiek musi nauwijać równo ze skrzydłami, jak wiater, pomyślny zawieje.

Jadwiga.

Idę, idę — (odchodzi do alkierza.)

Bernard.

Pani niebyła nigdy w naszym młynie?.

Maria.

Nie — mój Bernardzie.

Bernard.

Szkoda!. tam to dopiéro wesoło — tam się niepodobna smucić, chociażby człowiek i chciał najbardziéj ani myśleć o jednym — (robi gesta rękami) tu furczy — tam się trzepie, tu hurczy, tam się sypie mąka biała jak śnieg — tu krupy gdyby perły odskakują od kamienia, aże pryska!. wyjdziesz

znów na galeryją, to widać Wisłę — całe miasto do koła jak na stole — i rozmaite rzeczy....

Maria.

To pięknie być musi.

Jadwiga.

wychodzi z alkierza niosąc misę mléka, dwie łyżki pod jedną i dwie kromy chleba pod drugą ręką.

No Bernardzie chodź jeść kiedy ci pilno (siada około misy.)

Bernard.

Ślicznie, prześlicznie! powiadam pani (zasiada z drugiéj strony misy i drobi chléb) ja tam już trzydzieści lat z górą chodzę, najmując się do roboty, a codzień mi się bardziéj podoba (jedzą oboje.)

Maria.

Wybaczcie mój Bernardzie że wam nic nieodpowiadam, bo mnie nieznośny ból głowy męczy (podpiéra głowę ręką, i zakrywa chustką oczy.)

Bernard.

Hm... bodaj to — bodaj! to z tego myślenia, i nieustannéj medytacyi...

Jadwiga.

Trzeba czém okładać — octem, lub może kwaśném mlékiem z gliną (ciszéj do męża z uśmiéchem) éj ty coś bardzo téj pięknéj pani w oczka zaglądasz i nią się interesujesz — żeby ci zaś Jaga niezbrzydła na starość?.

Maria (wstaje i wychodzi.)

Bernard.

Jak się masz głupi, daj tabaki — jak się roz-

bajesz — to bajesz, bajesz, co ci ślina na język przyniesie (wzrusza ramionami.)

Jadwiga.

Dziwna to jakaś osoba — w nocy wzdycha, przewraca się, czasem płacze — a w dzień, także się nieśmieje — milczy prawie ciągle, choć człowiek chciałby się z nią rozgadać to krótko pozbędzie — albo chora.... albo niéma czasu....

Bernard.

wylewając ostatnie krople mléka na łyżkę.

Hm... a ty tego milczenia najbardziéj nielubisz Jago... nieprawda?.. (śmieje się) bo ci się to w głowie niechce pomieścić, jakto być może żeby kobiéta nielubiła mówić, czy to o sobie czy o drugich — jéno wolała milczeć — — — jak świat światem, o tém nikt niesłyszał jeszcze, co? he? nieprawda?.. zagląda jéj w oczy) prędzéj nam wszystkie młyny staną, niż język szczebiotliwéj niewiasty... ha! ha! ha!

Jadwiga rzucając się.

Ej idź z twojemi kobiétami i młynami! (podrzeźniając) prędzéj nam wszystkie młyny staną, niż język szczebiotliwéj niewiasty — juścić — bo jak wiatru brakuje, to i młyny stać muszą, choćby i same niechciały, a do gadania wiatru niepotrzeba.

Bernard.

He he! jéno bajek, nowin, a tych prędzéj dostanie jak wiatru — bo wiatru nie zrobi jak go zabraknie, a nowin jak braknie — to ich można z głowy usnuć.... co? he! he! he! nieprawda?.

Jadwiga.

Ej — prędzéj w Wiśle woda wyschnie, niżeli wy przebrzydli mężczyzniska, przestaniecie się z nas kobiét naśmiéwać. O! bo to wygodnie zabawiać się plewą w cudzém oku żeby w swojém, zapomnieć o kłodzie — a śmiało się założę, iż połowę męzkiéj ludności w naszém mieście możnaby ubrać w spodniczki, fartuszki, gorseciki i czépki w miejscu kapot, kamizelek, kapeluszów zmączonych, i puścić w świat z nowinami, a niepotrzebowałybyśmy się obawiać, ani wstydzić za ich niewprawne języki, brak plotek i wiadomości.

Bernard.

No, no — Jadwiś — nie gniéwaj się... ja tylko żartuję (głaszcze ją pod brodę) przecie znasz mnie Jadwiś?..

## Scena 5.

Ciż i Celestyn.

Celestyn.

Pokój temu domowi.

Bernard Jadwiga

wstają z uszanowaniem i całują mu ręce.

Witaj u nas wielebny ojcze Celestynie.

Celestyn.

Jak się macie moje dzieci? — usiądźcie proszę, i ja usiędę bom się zmęczył (siada) dzień nadzwyczaj gorący, cóż tu słychać u was?.

Bernard.

Nic złego, ani dobrego, wszystko stare jak było. —

Celestyn.

Lepsze stare nic — jak zła nowość.

Bernard.

Bogu dzięki i za to!. Cóż nam wielebny ojciec ma do rozkazania?.

Celestyn.

Nic moje dzieci — nie przyszedłem rozkazywać — kwestuję na siéroty, i na pogorzelców (potrząsa karboną) jeżeli co łaska? to proszę.

Bernard.

Oj marny mój zarobek marny, mój Ojcze! co dziś zarobię, to jutro co do grosza wyjdzie na żywność, choć dość skromnie żyjemy — i nic nad konieczną potrzebę niepozwalamy sobie.

Celestyn.

Ci nieszczęśliwi dla których ja żebrzę dzisiaj, ogołoceni są z najkonieczniejszych potrzeb mój synu.

Bernard.

Ale im wolno żebrać chleba, mają swoich dobrodziejów którzy myślą o ich losie; a ja — gdy mi sił zabraknie do pracy, któż się nademną zlituje — poda mi kawałek chleba? (kraje chléb i zajada) ja nieśmiałbym ręki wyciągnąć do nikogo — chociażbym miał umrzéć z głodu.

Celestyn.

Opatrzność rządzi wszystkiemi — a to przed nami zakryte co jéj się podobało dla kogo przeznaczyć, chciéj mię tylko cierpliwie posłuchać mój bracie.

Bernard Jadwiga.

Z całéj duszy posłuchamy, tak pobożnéj mowy.

Celestyn.

Chrześcijanin bogacz wezwany jest — nie tylko prawem boskiém, ale przez prawo, i głos ludzkości do wspiérania ubogich, chociażby tylko dla tego — że on ma za wiele — a tamtym los wszystkiego odmówił! — Chrześcijanin chudobny — mało, albo nic do stracenia niemający, powinien i to co ma podzielać z ubogim, a żeby nabył prawa, w razię potrzeby rządania pomocy dla siebie od bogatszych, mimo to zaś — oba winni mieć na pamięci słowa: „kochaj bliźniego, jak siebie samego!“

Bernard.

Mój ojcze, my kochamy wszystkich ludzi, tak jak Bóg przykazał.

Jadwiga.

Z sąsiadami żyjemy w zgodzie — z nikim się nie kłócimy, i nikogo nie nienawidzimy.

Celestyn z dobrocią.

To jeszcze nie wszystko moje dzieci. — Powiédz że mi, mój Bernardzie dla czego ty zajadasz ten chléb?

Bernard.

Bo jestem głodny, i pożądnie głodny! chociaż już zkonsumowałem misę mléka.

Celestyn.

Ach! moi ludzie — gdybyście wy tam byli z kąd ja niedawno powróciłem — z pewnego miejsca o parę mil od stolicy, gdzie przed kilku jeszcze tygodniami, stało dość pożądnie zabudowane miasteczko, dziś — przez okropny wichrem podniecany pożar; sto pięć domów leżą rozsy-

pane w popiół i gruzy — a pośród ogorzałych resztek, zgliszczów, i rumowiska, dwieście trzydzieści we łzach tonących rodzin, ogołoconych z wszelkiego mienia, środków do życia i przytułku! Powiédz dobry Bernardzie — powiédz — gdybyś taki ubogi — tak głodny — jak dziś jesteś stanął sam pośród tych nieszczęśliwych, jedząc — i do koła usłyszał ciężkie westchnienia które widok kawałka chleba w twoim ręku wydarłby z tylu zgłodniałych piersi... czyżbyś nie odjął go od ust twoich, i nie podał czémprędzéj, piérwszym obok ciebie stojącym nieszczęśliwym?.. —

Bernard

kładzie chléb, i ociéra łzę rękawem.

A chyba żebym był z kamienia tak twardego, jak nasze młyńskie koła!

Jadwiga

ociéra fartuchem oczy.

Tak, tak — z kamienia tak twardego jak nasze młyńskie koła.

Celestyn.

To widzisz mój synu, prawda — ty byłbyś głodnym ale, obok głodu pozostałby ci jeszcze pewny zarobek na jutro, i na dal — na noc wygodne posłanie w twoim własném pomieszkaniu, a oni! wszystko utracili! i łez pokory nawet niémają gdzie składać — i o siły do zniesienia swéj niedoli gdzie błagać, bo i Świątynia Pańska nie uszła strasznéj klęski!...

Bernard.

Ej Jadwigo! niech się dzieje wola Boża! ja

dam tę złotówkę, co na jutrzejszą żywność przeznaczona (szuka w kalecie.)

Jadwiga.

Ja chętnie ustąpię mojéj części — — — jutro sobota, mogę suszyć do najświętszéj Panny — ale ty Bernardzie przy pracy — niewiem czy wytrzymasz?.

Bernard.

Tę reszte chleba schowam na jutro, będe i ja suszył, a zresztą Bóg mi doda siły.

Celestyn rozrzewniony.

Otóż to prawdziwa jałmużna! niech wam niebo stokrotnie wynadgrodzi swoim błogosławieństwem moje dzieci!

Bernard poglądając w okno.

Chodźmy Jago do roboty, bośmy się spóźnili (do Celestyna) Ale, ale, mój ojcze — i my tu mamy jednę niewiastę z pomiędzy tych pogorzelców (zagląda do drzwi alkierza) pani! pani! prosimy do siebie!

Całują po kolei ręce Celestyna i odchodzą oboje.

## Scena 6.

Celestyn, Maria.

Maria kłania się skromnie.

Zapewne mam szczęście oglądać szanownego ojca Celestyna opiekóna siérot, i nieszczęśliwych w całéj okolicy?.

Celestyn.

Tak moja pani — jestem Celestyn znany pod tą suknią pielgrzyma, a pani jesteś podobno przybyłą z pogorzałego miasteczka? (przypatrując

się Maryi) oczém najlepiéj poświadcza rozlany wyraz cierpienia na jéj twarzy, i świéże łez ślady. Może potrzebujesz pomocy — rady?.

Maria.

Ach mój ojcze! w téj chwili nad wszystko przekładałabym twoją szczérą radę — — — gdybyś był łaskaw obiecać mi milczenie — a późniéj posłuchać mnie cierpliwie, i z pobłażaniem.

Celestyn.

Córko mów śmiało, i bez obawy, każden nieszczęśliwy ma prawo uważać mnie za swego przyjaciela.

Maria.

Dobroć, słodycz twoja mój ojcze — i to co tu już w czasie krótkiego mego pobytu słyszałam dobrego o tobie, niezgłębione wzbudza we mnie zaufanie. —

Urodziłam się z tąd daleko — rodzice moi przybywszy na mały urząd do wiadomego ci miasteczka mój ojcze — przywieźli mnie ze sobą już dorastającą. Matka moja udzielała mi sama tych wiadomości, jakie i ona posiadała, a najszczególniéj zasad cnotliwych, i robót kobiécych. Nieszczęście chciało że w szesnastym roku mego życia ojciec mój przez intrygę stracił swój urząd, a potém w krótce oboje pomarli z zmartwienia. Ja niemając majątku, krewnych ani przyjaciół; odpłakawszy stratę drogich rodziców — najęłam sobie stancyjkę, i pracując pilnie utrzymywałam się z robót, niewychodziłam nigdzie, oprócz do kościoła w święto. Tam ujrzał mnie młody wojskowy (bo w mieście stała konnica) polubił, i

chciał się wkręcić do mego domku. Pamiętna przestróg kochanéj matki, niedałam się ułudzić żadną obietnicą, ani ofiarowanémi bogatemi dary — mimo to jednak, kochałam go. — Widząc wreszcie że mnie inaczéj niepozyska, zaproponował ślub potajemny — dając za powód trudności ożenienia się w stanie wojskowym — zostałam więc skrycie małżonką jego — po ślubie dopiéro, zwierzył mi się jeszcze, że jest wysokiego rodu, że ma ojca dumnego, któren raczéj przeniósłby śmierć jego nad takie połączenie. Widziałam się więc zmuszoną dla wspólnego szczęścia naszego, żyć w ukryciu jak największém.— Niebo pobłogosławiło nasz związek po upłynionym roku darząc nas czérstwym synem, zupełnie do ojca podobnym — lecz wraz zaczęły się i moje nieszczęścia! Męża mego powołano z garnizonu do stolicy — odtąd widywałam go coraz żadziéj — wreszcie od kilku miesięcy niémiałam i listu od niego — aż zmuszona przez ten nieszczęsny pożar udać się do stolicy, napotkałam go niespodzianie, był zimny — pomieszany — wreszcie przed chwilą wpadł tu do mnie, opowiedział mi przyczynę swego milczenia, że ojciec ma go w podejrzeniu i strzeże starannie, że gwałtem chce go ożenić bogato — że dla pozoru musiał przystać na zaręczyny — zapewniał iż zawsze kocha mnie jednako, pieścił swego syna — a w końcu... i mówił, i zaśpiéwał coś o rozstaniu, a gdy z niespokojnością zapytałam, coby to miało znaczyć?. odpowiedział że to fantazya, i wybiegł pomieszany. — — Oto wszystko opowiedziałam

ci mój ojcze, a ty osądź teraz sam, i naucz mnie jak sobie to wszystko mam tłumaczyć — twoja rada będzie dla mnie prawdziwém uzdrawiającym balsamem, w tym labiryncie niepewności i cierpienia.

Celestyn.

Rozstrzygnienie téj rzeczy całéj nieco dłuższéj potrzebuje rozwagi moja córko — powiadasz że wspominał o rozłączeniu?. tam gdzie przysięga wykonana przed ołtarzem Pańskim w obliczu Jego kapłana i dwóch świadków — wykonana dobrowolnie z stron obu; tam — rozstanie samowolne miejsca niéma — tu jest już obowiązkiem waszym, żyć w zgodzie aż do śmierci połączeni.

Maria.

Mój ojcze, ja niepragnę wcale wyzwolić się z tego obowiązku, owszem wypełnienie jego ściśle — byłoby osłodą mego życia, ale jeżeli to połączenie się zemną miałoby unieszczęśliwić go na całe życie — zwaśnić z ojcém, wyzuć z majątku i skazać na nędzę, a wraz z niem i nasze dziecko! jeżeli on sam zapragnie rozwodu?..

Celestyn.

Jakkolwiek piękne i wzniosłe jest z twojéj strony moje dziécie to poświęcenie siebie dla szczęścia twego oblubieńca i małżonka, dla szczęścia jak mówisz twego syna — lecz i tu niepowinnaś i niemożesz zezwalać na rozwód — a gdzież jest syn wasz Mario?.

Maria na stronie.

Zna moje imię?. (głośno) z kądże wiadome ci jest moje imię mój ojcze?.

Celestyn.

Teraz mogę ci już powiedzieć... hrabina Wanda któréj posiadam zaufanie, powierzyła mi twoją historią Mario, o ile ta jéj saméj z opowiadania twego jest wiadomą — i wezwała mnie — aby się o tem naocznie przekonać, a jeżeli rzeczywistość zgodzi się z twemi słowami aby oddać ci ten pierścień (podaje jéj pierścień.)

Maria.

Wspaniałomyślna, szlachetna Wando! (radośnie) więc znasz ojcze hrabinę Wandę?.

Celestyn.

Prawie od dzieciństwa — jest to wysokich cnót osoba.

Maria nieśmiało.

To zapewne znasz i hrabiego Alfonsa, jéj narzeczonego?.

Celestyn z podziwieniem.

Narzeczonego?. Alfons od cztérech lat przeszło jest małżonkiem Wandy.

Maria

Boże!!... Alfons jest moim mężem!. (pada zemdlona.)

Celestyn

w największém pomięszaniu.

Ratunku! pomocy! ach! ja niebaczny! tak nagle wyrzekłem! łatwo było się domyślić (podnosi Marią, składa na łóżku) héj jest tam kto?. niéma nikogo! (bierze wodę z flaszką obléwa ją) więc to występny hrabia Alfons zwiódł cię nieszczęśliwa! zbrodnię wielożeństwa! przydał jeszcze do wielu innych płochości swoich.. Trzeba położyć

tamę tym wybryczkom — pójdę spróbuję najprzód zakołatać do jego serca — może da się poruszyć — narażę się na jego wzgardę — zniosę popędliwość — a jeżeli w ten sposób nie zdołam nic wskórać — udam się drogą, jaką w tym razie wskaże mi sumienie i obowiązek.... o biédna! biédna Wando!

*Zasłona spada.*

## Koniec aktu drugiego.

## AKT TRZECI.

### Scena 1.

*Pokój Alfonsa, bióro, fajczarnia, stoliki do kart, sofa, krzesła, dalej widać pokoje w enfiladzie.*

—

Wandą siedzi i czyta, Guścia, Basia, ubrane biało, stoją naprzeciw siebie w pozycii do tańca na przodzie sceny, naprzeciw nich — tak że jedna z prawéj, druga z lewéj strony, stoi Berta w 5téj pozycyi z podniesioną nad kostki suknią, którą utrzymuje rękami — torba haftowana, z chustką na ręce.

Berta.

No! ufaszajsie mes enfants szepyście umieli się topsze sprodukofać jak papa natéjsie — no — voyez (robi pozycye od początku) une, deux, trois — (głowa ciągle w ruchu, poglądając to na lewo, to na prawo na obie tanecznice naśladujące jéj poruszenia, to na swoje nogi) szle! szle Basia fidonc! topsze Guścia — topsze Basia — no teras nous dancerons. —

Wanda.

Pozwól im nieco wypocząć Berto.

Berta.

Bon, bon, niéma jeszcze poszém — no no maman kasze — reposer vous Guścia, odposznij Basia, (siada poprawiając dzieciom po kolei ubranie.)

**Wanda** po chwili przestanku.

Już możecie tańczyć — ale coś papy nie widno - może nie nadéjdzie prędko.

**Berta**

wstaje podskakując, bije takt rękami, i śpiéwa to, co powinna mówić.

No passé — passé (klaszcze w ręce, dzieci stają na swoich miejscach w pozycyach do tańca — śpiéwa Anglaise) Guścia f lefo Basia f prafo — tralal tri li — tri li li (balansuje sama w raz z dziećmi) Guścia w prafo — Basia w lefo — tra lal tri li — tri li li — Basia latnie — Guścia fé — Guścia latnie — Basia fé — Guścia latnie — Basia latnie — patrzaj mamon jak to pięknie balancez! balancez! (balansuje sama.)

## Scena 2.

Ciż i Tom.

**Tom.**

Pan hrabia kazał oświadczyć jaśnie pani, że nie przybędzie aż za godzinę w raz z gośćmi (dzieci przerywają taniec, słuchając co Tom mówi.)

**Berta**

bijąc takt rękami, śpiéwa ciągle.

Guścia fé — Basia fé — a fé Tom nieprzeszkazaj — brzydki Tom — brzydki Tata — a fé Tata! nie ufaszaj na to Guścia — Basia na to nie ufaszaj — tra lal tri li — Guścia latnie — tra lal tri li — Basia latnie...

**Wanda.**

Przestań znów trochę Berto.

Berta

która wciąż tańczy i za nią dzieci.

Topsze' mamon a fé papa! tra lal tri li — finissons. Dik Guścia — dik Basia (dzieci kłaniają się, Berta wyjmuje z torby chustkę, ociéra nią czoło, twarz i szyję.)

Wanda.

Odejdźmy na chwilę, trzeba dzieciom dać wody pomorańczowéj z mlékiem, na ochłodzenie — powolnić im sukienki, niech sobie odpoczną — Tom da nam znać jak pan będzie na wschodach, a témczasem ustawi stoliki do lombra, (odchodzi, za nią Berta i dzieci.)

## Scena 3.

Tom sam.

Tom chodzi z trzepaczką w ręce.

Hm... dam znać jak pan będzie na wschodach, ale kiedy my się tego doczekamy? (omiata stoliki po kolei) zrobić spacer konno gallopem z krakowskiego przedmieścia na Marimont — dla rozpieszczonego już teraz paniątka... co mu wyszły dawno z głowy kilko dniowe marsze, rewije i t. p. a dziś nazwyczaiło się to jeździć, chociażby tylko tak daleko jak przez szérokość ulicy w karécie wysłanéj sajetami axamitem... i to jeździć, prawie leżąc — spacér taki mówię utrudzi — — trzeba więc będzie wstąpić na lody, może się spotka z przyjaciołmi... o! pani Berta nadryga się niemało z swoim tra lal tri li — nim się z swemi susami pochwali przed panem! Prześmieszna też ta francuzica — choćby się człowiekowi i na

płacz zbiérało — to się musi rozśmiać jak się na nią popatrzy, stare... brzydkie... niezgrabne... a zawsze to podryguje... nuci sobie jakby jaka szesnastoletnia dziewczynka kontenta ze siebie. — Co téż to przecie za dziwny obyczaj u tych naszych panów! ledwo dziecko wyjdzie z pieluch, jużci... niepytają się czy umié paciérz? tylko zaraz żeby po francuzku klekotało — jak papuga wyuczona! sprowadzają piérwszą lepszą babę co we Francyi (z cicha) może krowy pasła (głośno) a tu jéj wolno przewodzić nad każdym... i człowiek uczciwy... i państwo sami znoszą jéj grymasy — tfu!. jak gdyby to u nas było 11ste przykazanie boskie ta francuzczyzna?. Jak wojażowałem za granicą przecie po różnych krajach tu — i owdzie — niewidziałem, niesłyszałem nigdzie, żeby które dziecko chociaż jedno słowo po polsku umiało?. najlepiéj byłoby, gdyby to już jakoś od razu, same francuzięta się rodziły!— — — (ustawia stoliki, zapala świécc.) Coś długo musiała trwać ta wizyta, kiedy dotąd niewidno go jeszcze (patrzy na zégar) już na ósméj — — ciekawa przecież rzecz — jak się to skończy, ta mała awanturka?. mała — ale mógłby urość z niéj duży figiel gdyby się hrabina dowiedziała — jak bądź, tak bądź — mam przeczucie że się tu człowiekowi coś przy tém oberwie (śmieje się) byle nie po uszach — bo to czasem za pańskie grzéchy, sługa musi pokutować (słucha) oho! idą— — — — (otwiéra drzwi i staje wyprostowany.)

## Scena 4.

Tom Celestyn.

Celestyn pozdrawiając Toma.

Czy nie zastałem hrabiego?

Tom kłania się.

Pan hrabia wyjechał ku wieczorowi na spacér — oczekujemy go co chwila z gośćmi, bo ma być wieczór partya (wskazuje na stoliki.)

Celestyn.

Tak — tak — partya uważam — hm... szkoda — mam pilny interes do hrabiego Alfonsa.

Tom.

Dziś... bo już czas krótki — późno — — hrabia będzie zajęty — może jegomość dobr. zostawi na piśmie — lub mnie zechce powierzyć? ja posiadam wszelkie zaufanie hrabiego... nieograniczone — — — jestem jego faworytem — — piérwszym pokojowcem... i mogę powiedzieć przyjacielem (widząc wachanie się Celestyna) lub może... może... na jutro...

Celestyn.

Rzecz ta nie ciérpi zwłoki... tém więcéj, że jest nie małéj wagi dla hrabiego.

Tom.

To może jegomość dobr. zechce pójść do pani hrabiny i tam się zatrzymać?.

Celestyn.

Nie mój przyjacielu — obowiązek wzywa mnie gdzie indziéj... niémam czasu do stracenia — będę chciał późniéj wpaść na chwilkę, (wychodzi powoli.)

Tom

świéci mu i kłania się nisko.

Upadam do nóżek jegomości dobr. (na stronie) wyprawię go tylnemi wschodami, bo gotów go spotkać i wrócić się, a mój pan nie lubi takich gości (wołając za Celestynem) a może jegomość dobr. ma przypadkiem interes w przecznicę?. to krótsza droga małemi wschodami — są oświécone...

Celestyn za sceną.

Właśnie spieszę w tę stronę, dziękuję ci przyjacielu, ująłeś mi wiele drogi.

Tom

kłania się jeszcze — zamyka drzwi i stawia świécę na stole.

## Scena 5.

Tom sam.

Tom poprawiając czuba.

Ha! ha! ha! udało mi się niespodzianie!.. hrabia lada chwilka nadéjdzie — spotkaliby się na wschodach lub na ulicy, wróciłby się niezawodnie ze swoim pilnym interesem... zapewne jaka kwesta lub składka; a panu memu nic nie jest tak przeciwne, jak te moralne wizyty! — Ja sam tego nienawidzę — — — w ogromnéj byłem obawie — że zechce czekać w tym pokoju i ja go będe musiał bawić... a tak nielubię patrzéć w oczy tego pielgrzyma! zawsze mi się zdaje że to jakiś święty Pański na obrazie — — — a kiedy zemną mówi — — choć taki łagodny zawsze jak baranek, to mi tu jakoś tak roi (pokazuje na ciemię i na plecy) jak mrowisko, niby strach mię przejmuje, jakżebym się przed nim miał

spowiadać — zapominam nawet w téj chwili że wojażowałem za granicą brum!. (otrząsa się) i... nie powiem wcale hrabiemu że tu był, bo to mogłoby popsuć mu humor a wieczór już będzie późno, powiedzieć, każę lokajom, że hrabia nieprzyjmuje... ale to sęk, bo hrabina pozwala mu wstępu do domu o każdéj godzinie — (słucha) o! teraz pan mój idzie — — poznaję go po chodzie — — — ale sam widzę — — — (otwiera drzwi.)

## Scena 6.

Alfons. Tom.

Alfons.

Jeszcze nikt z gości nieprzybył?.

Tom.

Nie panie. —

Alfons.

Sądziłem że już zastanę Wacława, Henryka — to nic — nadéjdą w krótce — dopiéro cośmy się rozeszli, (chodzi zamyślony) słuchajno mój kochany.

Tom na stronie.

Mój kochany — — — o! już miarkuję co to będzie (głośno) słucham panie. —

Alfons.

Chcę ci dać ważne zlecenie — mam nadzieję że się niepokpisz, i wypełnisz go gracko — po swojemu, tak jak to wiész — ja lubię.

Tom

podnosząc głowę do góry, kładzie rękę na piersi.

Czuję to w sobie panie, że się niepokpię, i

pana niezawiodę — alboż to piérwszy raz? — alboż nie wojażowałem...

Alfons przerywając.

No — więc słuchaj poczciwcze (kładzie mu rękę na ramieniu — półgłosem) Pragnę już raz pozbyć się téj Maryi — rozumiész mnie?..

Tom robiąc minę ważną.

O! rozumiem panie — przecież wojażowałem za...

Alfons.

Już mnie nudzą te nieustanne bałamuctwa— obawy — hrabina mogłaby się dowiedzieć — — i kiedykolwiek nawarzyłoby się piwa niepotrzebnie — zresztą Maryi także poczyna się już przykrzyć, to ukrywanie się przed światem, samotność i tém podobne — — dla mnie zaś utrudzające i nudne to oblékanie się w dwie skóry, tu grać rolę męża i hrabiego, tam męża i... kochanka — — — trochę dużo kłopotu za jeden tam wybryczek młodości.

Tom.

Ej cóż tam! taki niewinny wybryczek!. alboż to tylko pan jeden sobie pozwala?. to są zwyczajne bagatele. — Cóż tak strasznego, przez cztéry lata mieć dwie żony — aby ino jedna o drugiéj niewiedziała!

Alfons.

No dla tego też — że teraz łatwo może się to wydać — chcę aby się Maria oddaliła — bo przecież hrabiny dla niéj nieporzucę. — Dziś więc jeszcze wpadniesz konno na Marimont — z biletem do Maryi w którym przedstawię jéj że

nam obojgu wielkie niebezpieczeństwo zagraża— że ojciec mój wié już o jéj pobycie w Warszawie — — zaklnę ją na wszystko, na szczęście jéj syna, ażeby niewachała się jutro ze świtem opuścić stolicę i udać się do dóbr moich na Litwę— gdzie ją nasz wierny Tom zawiezie, i przy niéj pozostanie, mając staranie aby tak jéj jak i naszemu dziécięciu na niczém niezbywało — a ja przy piérwszéj zdarzonéj sposobności; nieomiészkam za wami pospieszyć. — — —

Tom z ukrytą radością.

Doskonała myśl! panu, bo nigdy niezbywa na wyśmienitych konceptach w podobnym razie (zaciera ręce) he he he!

Alfons.

Jeżeli zechce przystać na moją propozycyą oczém niewątpię — weźmiesz pocztę — i jutro o świcie ruszysz z Marią na Litwę — tam komisarz zawiadomiony przezemnie dostarczy wam wszystkiego, a ty... pocieszając Marią, pamiętaj o sobie — może ci się uda pozyskać ją, to byłoby najlepiéj — ja przychyliłbym się z chęcią do ustalenia waszego losu.

Tom patetycznie.

Byłoby to nie źle, co się tyczy.... pańskiéj spokojności, w ten sposób załatwić cały interes— ale to ja panie.... jak panu wiadomo — wojażowałem za granicą... człowiek przyzwyczajony żyć pożądnie — pracować nieumiem.... możeby się też podołało wyszukać lepszą partyą dla siebie...

Alfons.

No, no — rób tylko interesa, a ja o posagu pomyślę, dam wam na dożywocie ten folwark pod puszczą co go znasz — tytułem niby dzierżawy, ale niebędziecie mi nic płacić z niego. — — Teraz chcę pisać prędko nim nadéjdą (otwiéra bióro, siada i pisze.)

Tom na stronie.

Ha byłoby to nieźle, gdyby się udało! (rachuje na palcach, potém zaciéra ręce) wyperswaduje sobie, niewidząc hrabiego — a zresztą... przecież i ja wojażowałem za granicą (słucha) oho! idą panie — (otwiéra drzwi) p. Wacław i p. Henryk.

Alfons.

Napiszę w nocy jak odejdą (chowa list do szuflady.)

## Scena 7.

Alfons, Henryk, Wacław, Tom przy drzwiach.

Alfons.

Bon jour — dlaczegóż tak późno? (witają się.)

Wacław.

Dobry wieczór Alfonsie — Henryk niech się sprawi.

Henryk.

Dlaczego tak późno?. ot zwyczajnie, nasza awanturka, spotkaliśmy tego poczciwego pielgrzyma starego, jak on się tam zowie?. mniejsza o to — a obok niego idącą śliczną kobiétkę, która prowadziła za rączkę spore dziécie — chcąc ich jeszcze raz spotkać, i téj pięknéj twarzyczce

przypatrzeć się lepiéj, musiałem zrobić duże koło — ale nieżałuję wcąle, bo warto było prawdziwie! posępna, blada, jak posąg z pod dłuta Tidiasza.

Wacław.

Ja czekam, i czekam jak szyldwach na rogu ulicy, wreszcie sądziłem że pan Henryk jako amator, Madony, zapisał się do bractwa i poszedł z niemi gdzieś na kwestę.

Alfons śmieje się wymuszono.

Ha ha ha! no, no, szkoda czasu — prenez place (wskazuje na stoliki, Tom podaje krzesła.)

Wacław.

W cóż — w maczka?

Henryk.

To się rozumié — któżby się smarzył nad wistem — lombrem, lub pikiętą może?. nieprawdaż Alfonsie?.

Alfons.

Oczywiście — wszak wiécie że to moja gra ulubiona, ale chciałem wam pozostawić piérwszeństwo w wyborze.

Wacław. Henryk. razem.

Maczek — maczek. Teraz rozbiérajmy się, kto trzyma bank? (ciągną karty.)

Alfons.

Przy mnie — dukat najmniéjsza stawka aż do pięciu dziesięciu — siadajmy (siadają, Alfons wysypuje przed siebie sporą kupę złota, tasuje karty, i rozdaje.)

Wacław.

Resto.

Henryk.

Kart! (gustuje powoli, potém uderza w karte i wykłada) dziewięć. —

Alfons

dociąga się, gustuje, rzuca karty, i wypłaca.

Tom! zrób póncz (grają daléj, Alfons wciąż płaci.)

Tom.

Zaraz panie (bierze stojącą na pobocznym stole wazę, cytryny, pomarańcze — kraje, trze cukier i robi póncz.)

Wacław gustując.

Après — trzydzieści dukatów na niewidzialne. —

Alfons z ukrytą złością.

Ach poczekaj przecie! może się dociągnę (ciągnie, gustuje i rzuca karty ze złością) diable! (płaci.)

Wacław.

Coś Alfonsowi szczęście dziś nie służy — już połowa prawie złotéj kupki przeniosła się do nas.

Henryk.

Za to musi być szczęśliwy w miłości.

Alfons marszcząc brew.

No no — bierzcie karty, a patrzcie końca, (grają, Alfons płaci ciągle.)

Tom

przynosi póncz w szklankach.

Czy rumu pan każe, czy esencyi?.

Alfons.

Ej do krocset! daj co chcesz.

Tom roznosi póncz.

Może panowie każą co dodać?.. (po chwili odchodzi.)

## Scena 8.

Celestyn prowadząc za rękę Leosia, wchodzi niewidziany od Alfonsa, któren tyłem siedzi do drzwi.

**Celestyn**

staje w milczeniu za stołkiem Alfonsa, przyglądając się grającym, po chwili mówi z pokorą.

Tu tyle złota, czy nieznalazłoby się też wypadkiem coś i dla moich sierót (potrząsa karboną.)

**Alfons**

rzuca się niecierpliwie na krześle.

Eh! quel diable! dziś mnie tak karta prześladuje! (pod nosem) à cela, cet jargon monnotone.... de cet homme!

**Henryk.**

Mówię prawdę, że musisz być bardzo szczęśliwy w miłości.

**Alfons.**

Ach! laissez moi z tą przeklętą miłością!

**Celestyn**

nieuważając niby co mówią.

W krótkim czasie przybędzie nowa sierota bez przytułku i opieki (ze znaczeniem) dziś poznałem młodą niewiastę na Marimoncie.... niewinna ofiara intrygi — i cudzéj niegodziwości!

**Alfons**

kryjąc niespokojność, nie odwraca się.

Ha ha ha! takich ofiar dobrowolnych kopami naliczyć można w naszéj stolicy! (gra wciąż.)

**Celestyn**

ze wzrastającym zapałem.

Właśnie, że ta niéma sobie nic do wyrzucenia — postępowanie jéj można powiedzieć, było

tak nieskazitelne — jak występna bezczelność tego, co ją haniebnie oszukał — i co gorsza! dotąd zwodzi jeszcze — mimo to, że z inną zaślubiony, a jakby najgrywając się z cierpienia i nędzy pierwszéj — trzyma ją prawie w więzieniu wraz z swoim własném dziécięciem, dla oszczędzenia siebie.

Henryk.

Czy to nie jest przypadkiem ta sama niewiasta, z którą spotkałem cię Rewerende Pater, na mieście przed wieczorem, jeżeli ta sama? (śmieje się i kłania) rekomenduję się na jéj opiekuna — — (Celestyn milcząc odwraca się z pogardą.)

Alfons.

Ej niech licho weźmie! albo starosta, albo kapucyn!. kto z was ma ochotę wabankować mnie o to, co jeszcze przedemną leży? bo mnie to już nudzić poczyna.

Henryk.

Służę ci.

Alfons.

Odmienię talią (bierze nowe karty, tasuje.)

Wacław.

Więc ja niémam co robić (wstaje — pozostając przy stoliku przygląda się graczom — po chwili do Celestyna) i Ojciec, znasz tego niegodziwca? gdzież on jest teraz, co robi?.

Celestyn.

Tak — znam go po trochu — co robi?. bawi się nie myśląc tylko o tém, jakby sobie czas uprzyjemnić na tym świecie... a nie pamięta!..

Henryk.

Proszę cię Alfonsie jeszcze kartę.

Celestyn.

Nie pamięta, że jest świat inny — — gdzie kiedyś powołani staniemy wszyscy za równo, przed jednym wielkim bankiem — gdzie na każdego z osobna zawołają: Va bank! — — — tam monetą stojącą na karcie będzie życie — lub śmierć wieczna — a kartami los stanowiącemi, nasze cnoty i przestępstwa na téj ziemi.

Henryk

gustuje, wykłada karty.

Ośm — a ty?. siedém tylko — (zagarnia pieniądze do siebie.)

Alfons

rzuciwszy z całéj siły karty na stół.

Foudres et tonnerres!!. (zwraca się raptem, i gwałtownie odtrąca Celestyna.)

Leoś

przestraszony, poznawszy Alfonsa.

Tato! nie gniéwaj się na niego! (obejmuje kolana Alfonsa, Alfons odpycha dziécie.)

Wacław, — Henryk.

Alfonsie co robisz!. (wstrzymują go.)

Celestyn

łagodnie, niezmieniwszy bynajmniéj pokornéj postawy, ani wyrazu twarzy.

To dla mnie — a cóż będzie dla moich sierót — i dla pogorzelców?. (podaje karbonę.)

Henryk rozżewniony.

Ach to cierpliwość nadludzka!

Wacław.

Otóż to jest wzór pokory!..

Alfons

zdumiony — reflektuje się zwolna.

Nieba! cóż uczyniłem w szałowém uniesieniu! (ściska ręce Celestyna, coraz więcéj rozżewniony) Ach daruj mi Ojcze — wybacz! namiętność wzięła górę nademną (wydobywa ze wszystkich kieszeni po kolei pieniądze, i bez rachuby sypie do karbony, Wacław i Henryk podobnież zgarnują do kapelusza Celestyna ze stolika złoto.)

## Scena 9.

Ciż i Wanda wbiéga z przyległych pokojów.

Wanda przestraszona.

Cóż znaczy ten hałas?. zamieszanie?.. (patrzy z trwogą na Alfonsa) Alfonsie! na Boga! co tobie jest?.

Celestyn.

Nic... nic... uspokój się pani — małe uniesienie przy grze.

Wanda spostrzegając Leosia.

Cóż to za dziécie mój ojcze? zapewne nowa siérota — takie ładne, potulne (głaszcze Leosia przypatrując mu się.)

Celestyn

niezważając niby słów Wandy.

Hrabio, tak znacznego datku nie mogę przyjąć od ciebie.

Alfons.

Jakto mój ojcze? wszak większy przyjąłeś od tych panów, chociaż oni nic nie przewinili przeciw tobie.

Celestyn.

Ale są bezżenni i... (przeciągle) niemają innych obowiązków....

Alfons.

Chociaż ojciec mój dotąd jeszcze mało mi udzielił — ale znasz przecie mój ojcze piękne dobra, które za Wandą wziąłem na Litwie. — —

Celestyn

w milczeniu wyjmuje z kieszeni gazetę, i podaje Alfonsowi.

Bądź łaskaw hrabio przeczytać — — (Alfons bierze i czyta.)

Wanda.

Ach! cóż za nową klęskę wyczytuję z jego czoła!

Celestyn.

Pani! żywot twój cały, prawie niezasługuje na cierpienia — ale pomnij że i wiernych Bóg dolegliwościami doświadcza? i złoto czyści się w ogniu...

Alfons

upuszcza gazetę i siada na sofie niemogąc utrzymać się na nogach.

Ach czytaj nieszczęśliwa Wando! bo ja niemam dość siły.

Wanda.

O Boże! cóż to być może?

Wacław podnosząc gazetę.

Czy rozkażesz wyręczyć się hrabino?.

Wanda

składając ręce — z rezygnacyą.

Czytaj pan. —

Celestyn.

Pani! uzbrój się w cierpliwość i męstwo — wszak po najciemniejszych burzach, przecież musi zawsze słońce zaświécić.

Wacław czyta.

Dobra do sprzedania! — Majętność hrabiny Wandy Dobrostawskiéj, urodzonéj z hrabiów Skiérmontów — Majdany — na Litwie w powiacie Lidzkim położona — wystawia się w przeciągu sześciu miesięcy na publiczną licytacyą, na zaspokojenie długów wynoszących summe trzykrocśto tysięcy Zł. Pols. któréj to znaczna część zawarowana jest prawem wexlowém; i podpisem własnoręcznym właścicielki.

Alfons

rzuca się na sofę chwytając się za głowę.

Ha! jestem zgubiony! przepadłem!!

Wanda.

Ach to jakieś oszustwo — ja nigdy w życiu moim nierobiłam grosza pożyczki — i niepisałam wexlu, ani prostego nawet rewersu. Na co śmiele ofiarować mogę przysięgę w razie potrzeby.

Alfons w okropnéj rozpaczy.

Tak Wando — oszustwo! straszne oszustwo!! ja hrabia Alfons — twój małżonek — ojciec twojéj Guści — ja go popełniłem.... fałszując wexle na twoje imię — i twoją pieczęcią je stwierdzając!. przez grę w karty, lekkomyślność — rzuciłem się w przepaść porywając za sobą poczciwą małżonkę, dziécie — i... jeszcze więcéj...

Wanda.

Alfonsie!.. nie poddaj się rozpaczy — jeżeli

mój majątek zmniejszy się — lub wcale przepadnie — to jeszcze przecież pozostaje ci nadzieja odziedziczenia innego, po najdłuższém życiu twego ojca. A choć nam téż przez lat kilkanaście przyjdzie poskromić się w zbytkach...

Alfons ciągle w rozpaczy.

Ach niełudź się Wando lepszą przyszłością, bo z mojéj przyczyny nic cię nie czeka, tylko niedostatek i nędza.

Wanda.

Mój Alfonsie, i do tych można się przyzwyczaić i znieść je z cierpliwością; mając rozum i religią.

Alfons.

Znasz surowość i popędliwość mego ojca, a przytém przywiązanie do pieniędzy — gdy się dowié że twój majątek zmarniłem tak lekkomyślnie, wydziedziczy mnie niezawodnie z mego, i odda w obce ręce.

Celestyn.

Panie — miéj wzgląd na twoją małżonkę — niepowiększaj próżną rozpaczą cierpień téj, która daje ci przykład prawdziwéj wielkości duszy — i nieograniczonego poświęcenia — — strona zbyt wyciągniona, chociaż nowa — pęka!

Alfons.

Nie Wando — ty niebędziesz cierpieć! Alfons sam odpokutuje... oskarzysz mnie że zfałszowałem rewersa bez twojéj zupełnéj wiedzy— mnie wezmą do więzienia, a twój majątek będzie ocalony.

Wanda.

Alfonsie! tylko w tym stanie szału i rozpaczy w jakim się znajdujesz, wybaczam ci podobny wniosek... jakże możesz przypuszczać, ażeby Wanda zdołała żyć w dostatkach, pokazywać się w świecie.. wiedząc że jéj małżonek... że ty Alfonsie pleśniejesz w ciemném więzieniu! ogołocony z wszelkich wygód życia?.. (płacze) okryty hańbą, i sromotą!.. Ach jeżeli twoim udziałem będzie nędza — i ja się z nią zgodzę, o dobrach zapomnę łatwo... aby nie w niesławie!.

**Scena 10.**

Drzwi się uchylają, najprzód ukazuje się wielka haftowana torba, a potem ulokowana głowa Berty, wpuściwszy Guście do pokoju, pozostaje sama we drzwiach. —

Berta.

Ach! ach! du secours.. pomocy!. une belle dame piękna pani zaslabla tu za drzwiami — chce się przefrócić — — — ale nie mosze zemdleć — ach! ach!... (odchodzi.)

Celestyn

biegnie ku drzwiom pomieszany, i spotyka Bertę która wprowadza Marią osłabioną, mówi do Maryi z cicha.

Mario dla szczęścia twojego syna, przywołaj całych sił twéj duszy na pomoc...

**Scena 11.**

Maria. — Berta staje z załamanemi rękami.

Maria

obejrzawszy się do koła, zakrywa sobie oczy.

Ach! cóż tu — już po mnie mój ojcze! (upada bez sił na sofę.)

Leoś

poznawszy matkę biegnie do niéj.

Mama! mama! (całuje jéj ręce.)

Alfons.

Ha! niebo sprzysięgło się dziś na mnie — (przyciska sobie rękami oczy w rozpaczy.)

Wanda biegnie do Maryi.

Nieszczęśliwa Maria! tu?. zemdlona, cóz to wszystko znaczy?. (maca jéj pulsa) coraz słabsza! pulsa stygną... Tom! Berto! kropli do trzéźwienia! wody...

Berta

wybiega, powraca za chwilę znosząc krople, flaszki z spirytusami i składając wszystko obok Wandy.

Eau de Cologne, woda kolońska — c'est c'est.. jak się to sofie?. ruk jelenia.. (wącha) brru.. ça pue.. niemilosiernie!. (biegnie na powrót.)

Alfons

przychodząc do siebie z osłupienia.

Wando! Wando!

Celestyn

trzéźwiąc Marią wraz z Wandą odwraca się.

Przez Boga! hrabio nie nagle... oszczędzaj jéj o ile można... przynajmniéj rozpaczą niepowiększaj twoich błędów... dla wykupienia się z nich niejako; wychyl cierpliwie i ten kielich goryczy...

Alfons na stronie.

Ha! ma być gorzkie — niech będzie gorzkie jak ekstrakt piołunu, angieliki!. (głośno) Wando! rozumiész co ta Maria tu znaczy?. to nowa prze-

zemnie oszukana ofiara... a to — (wskazuje na Leosia) syn mój Wando.

Wanda

odskakując od Maryi ze wstrętem i podziwieniem.

Co!. przez niego oszukana ofiara?. (po chwili z oburzeniem) ha! teraz pojmuję! to pomieszanie Maryi dziś z rana na widok Alfonsa... ten pierścień z moją cyfrą... (z wrastającym oburzeniem i boleścią, którą daremnie ukryć usiłuje) uwierzyłam ci, że nie jesteś płochą, że ten pierścień uczciwym sposobem nabyty... o niegodziwa! jakże mogłaś tyle korzystać z łatwowiernéj?... jak śmiałaś przestąpić moje progi?!.

Alfons

po chwili widocznéj walki, stanowczo.

Wando! — —

Wanda z godnością.

Hrabio — to za wiele!. proszę mi wytłumaczyć jak to mam rozumieć?.. Obok tego co zaszło przed chwilą; to z jego strony lekceważenie i pod tym względem mojéj spokojności?. po zdeptaniu najświętszych obowiązków, jakby dla najgrywania się z mojéj niedoli, jeszcze tę nikczemną tę nędzną — któréj obecność mnie uwłacza, i jego poniża — wprowadzać jawnie do naszego domu?..

Alfons

walcząc widocznie z upokorzeniem i miłością własną.

Pani — nie widzę się tu wcale być obowiązanym, zdawać jéj sprawę z mego postępowania i woli.

Wanda

chcąc powstrzymać łzy boleści, które gwałtem wydobywają się z jéj oczów.

O! tyle zniewagi znieść cierpliwie i spokojnie byłoby niegodną słabością z mojéj strony (chce odejść.)

Celestyn.

Pani — (wstrzymuje ją) zatrzymaj się jeszcze chwilkę, a przekonasz się że Maria nie jest winną.

Wanda.

Tém boleśniéj dla mnie mój ojcze, bo w takim razie (wskazuje na Alfonsa) on się więcéj winnym okaże.

Celestyn.

Wszystko jest małe, bez miłości bliźniego— przy niéj, wszystko jest wielkie, i łatwę.

Wanda.

Ach! ten cios niespodziéwany jest nad moje siły... (odwraca się od Maryi z mimowolnym wstrętem.)

Celestyn.

Narody wszelkich wyznań kochają swoich przyjaciół — sami tylko chrześcianie umieją kochać i nieprzyjaciół swoich! (błagając) pani — wszak i ty jesteś chrześcianką?..

Maria

przychodząc powoli do siebie podnosi się.

Gdzież jestem?.

Celestyn poważnie do Alfonsa.

Teraz na ciebie koléj panie uniewinnić te nieszczęśliwą — (wskazuje Marią) w oczach twojéj czcigodnéj małżonki — jeżeli zaś zechcesz mil-

czeć dłużéj — zmusisz mnie do wyjawienia twojéj tajemnicy, którą powierzono mi w największym sekrecie

Wanda

wspiérając się na stoliku, do Alfonsa.

Ach! na Boga!. mów prędzéj jeżeli masz coś do powiedzenia na swoją obronę. Zaręczam— Wanda — jeżeli kochać cię nie będzie już na dal w jéj mocy — przynajmniéj zechce być wyrozumiałą... sprawiedliwą...

Alfons klęka.

Wando! przysięgam ci — Maria nie jest winną. — Na rok przed zaślubieniem ciebie, stałem załogą w ubogiéj mieścinie — tam poznałem Marią — skromną, piękną i... zapragnąłem ją posiadać — a niezdołając niczem pozyskać jéj dla siebie, ułożyłem ślub fałszywy — którego świadkiem był... (ogląda się.)

Tom stojąc przy drzwiach.

Tam do licha! świadków wspomina (chwyta się za uszy, i cofa ku drzwiom) lepiéj zmykać zawczasu, póki słuchy całe! żeby zamiast żonki, posagu, niestracić którego (wychodzi.)

Alfons podnosząc się.

Tak Wando — Maria jest uczciwą! tylko... (gwałtownie) Alfons zbrodniarzem!..

Wanda

z przerażeniem załamując ręce.

Alfons zbrodniarzem!!.

Maria

ocucona do reszty wykrzyknieniem Alfonsa i Wandy — składa ręce powtarzając mechanicznie.

Alfons zbrodniarzem!

Berta

nierozumiejąc dobrze o co rzecz idzie z gestów tylko pojmując smutek, kiwa głową:

Ach mon Dieu! mon Dieu quel malheur!

(przegląda się i poprawia loki.)

Alfons

zwraca się nagle do Celestyna.

Dobry ojcze twojéj opiece poruczam Wandę, córkę moją — i tę nieszczęśliwą wraz z jéj dziécięciem — — teraz napiszę sam zeznanie oskarzając siebie, a potém (pokazuje gestem strzał) to ochroni imię moje od niesławy! (chce wybiegnąć.)

Henryk, — Wacław

wstrzymują go.

Alfonsie bądź mężnym...

Wanda.

Alfonsie! zlituj się!.

Alfons.

Puszczajcie mnie!

Celestyn zastępuje mu drogę.

Na Boga! zostań przy nas! —

Maria

która już zupełnie odzyskała przytomność.

Raczéj mnie odejść z tąd wypada — (do Celestyna) mój ojcze — usłuchałam twojéj rady — i przybycie moje tyle narobiło zgrozy! gdzie stąpię, tam nieszczęście przynoszę!

Wanda. przystępuje do Alfonsa.

Alfonsie błagam cię! zaklinam! chciéj się upamiętać (ściska go) ja ci przebaczę — zapomnę o przeszłości... abyś tylko na przyszłość żył dla mnie — dla twéj córki... (odwraca się do Guści) Guściu pójdź i ty prosić papy ażeby cię nie robił siérotą...

Guścia, Leoś

którzy od początku przybycia Guści zbliżyły się do siebie, biegną razem i upadają do nóg Alfonsa.

Papo! Ojcze! nie rób mnie siérotą!.

Alfons

rozrzewniony podnosi najprzód Guścię, i ściska ją, poczém patrzy na Leosia mając chęć i jego uścisnąć, nagle reflektuje się i odwraca od niego.

Wanda.

Alfonsie jeszcze jedno twoje dziécie, (bierze za rękę Leosia i posuwa do Alfonsa) jeżeli przystaniesz — i Maria pozwoli — to i ja będę mu matką.

Celestyn

ociéra łzy w milczeniu.

Alfons.

Najdroższa Wando! chcę żyć — ale jedynie dla ciebie — każda myśl moja — każde tchnienie odtąd niebędzie tylko dla ciebie i dla... (wskazuje na dzieci) ale... cóż z nią będzie (obracając się do Maryi) Mario czy i ty zechcesz mi podobnież przebaczyć?..

Celestyn.

Już naprzód przebaczyła ci hrabio — niezastrzegając sobie tylko ten jeden warunek, żebyś o synie twoim pamiętał, tak jak na ojca przystało.

Maria łagodnie.

Niémam nic dodać do słów ojca Celestyna. Jakkolwiek bolesno jest to dla serca matki rozłączać się z jedynym dzieckiem, jednak dla szczęścia Leosia i tego wyrzec się trzeba uczucia.. przytém cóż mnie teraz pozostaje innego?. tylko uchylić się przed ciekawém świata okiem w zaciszy klasztoru.

Celestyn.

Jeżeli moja córko, po upłynionym roku, trwać będziesz w swojém postanowieniu i chęciach, na ten czas będę może w stanie ofiarować ci godność przełożonéj Szarytek — których zgromadzenie (jeżeli Bóg najwyższy dozwoli) mam zamiar założyć wraz z domem dla sierót, ażeby je pielęgnowały.

Maria radośnie.

Wdzięczna ci jestem nieskończenie mój Ojcze za ten wybór, któren podwyższył mnie w moich własnych oczach.

Wanda.

Temczasem — kassa nasza Mario (na stronie) ach prawda cóż ja jéj teraz ofiarować mogę? (głośno) potrzeby twoje, będą oraz i naszemi.

Alfons na stronie z rozpaczą.

Zapomniałaś nieszczęśliwa, że już nic niémasz do rozdania.

Maria.

Pani! twoja dobroć, i wyrozumiałość przywiązuje mnie nieco do życia — a gdybyś jeszcze zapewnić chciała biédną Marią, iż... niepogardzasz nieszczęśliwą!?

Wanda.

Mario jakże możesz sądzić podobnie o mnie, sądzić o saméj sobie?. postępowanie twoje nie wzgardy — ale pochwały jest godne (podaje jéj rękę) ale przestańmy na ten raz już mówić o tém, dobra Mario, bo i on (wskazuje na Alfonsa) za wiele dziś ucierpiał. — —

Celestyn.

Wszak mówiłem ci pani że po burzy musi słońce zaświécić. Czasem i burza dla wyczyszczenia powietrza jest potrzebną — a czasem grom piorunowy uderzając w jednę stodołę właściciela, napełni mu cztéry pozostałe plonem i urodzajem przez wstrząśnienie zaschłéj roli, (wyjmuje list zapieczętowany i podaje Alfonsowi) Chciéj hrabio przeczytać.

Alfons.

Bądź łaskaw mój Ojcze wyręczyć mnie — a potem nam udzielić.

Celestyn.

Najchętniéj, albowiem jest to list od starszego hrabiego, z którym przybył tu dziś umyślnie sekretarz jego, a mój siostrzan — daruj panie iż poważyłem się od idącego tu, odebrać list ten na ulicy, wiedząc z opowiadania mego kuzyna że dobre zamyka wieści: (czyta, chwila milczenia — głośno) Smutek — ale oraz i pociecha. Szanowny ojciec twój hrabio odbywszy śmiertelną chorobę, wyszedł już zupełnie z niebezpieczeństwa, ale czując się mało na siłach do zarządzenia dobrami; wzywa cię abyś jaknajspieszniéj przybył — ode-

brać je — wraz z twoją godną małżonką i dziécięciem.

(Ogólna radość i podziwienie.)

Alfons.

Ach! to tobie winienem podziękować Wando, za tę widoczną opiekę nieba! gdyż to opatrzność nagradza twoje cnoty.

Celestyn.

Wątpliwości niepodpada że w tém zdarzeniu całém mamy przykład, jak niebo łaskawe, jeżeli jedną ręką dotyka człowieka — drugą łzy boleści mu ociéra gotując pociechę. Jak i o tém wątpić nie należy że Maria również tu — (wskazuje na niebo) czy tam — wyznaczoną ma nadgrodę — bo cnota nie jest nigdy bez niéj! A teraz (podnosi ręce i oczy w górę) dzięki! dzięki! najwyższéj dobroci, że raczyła téj klęsce dosyć pomyślny nadać obrót — gdzie cnota otrzymała zwycięztwo — występek na drodze został powstrzymany, a do tego obrać w części za sprężynę swojego działania mnie nędzny proch! przez co moje siéroty i pogorzelcy tak znaczną dziś odnoszą korzyść!. —

*Zasłona spada.*

**Koniec sztuki.**

## ODDZIAŁ II.

# POEZYE.

# POEZYJ

## CZĘŚĆ PIERWSZA.

# POŻEGNANIE

## wioski rodzinnéj.

O! wy — lube ciemne bory!
Zielone wzgórza doliny
W gaje — owoc — strojne góry,
W kłos wałujące równiny.

Nigdy opisać niezdołam
Jak mi jesteście drogiemi!
Kiedy żegnając cię wołam:
Najmilsza wiosko na ziemi!..

Tu się wszczął, słaby życia mego wątek,
Tu siedémnastą liczę w życiu wiosnę
Tu, mi leciały, w krainę pamiątek
Nie-jedne chwile smętne i radosne.

Tu to poznałam — kto rządzi niebiosy
Komu się korzyć, dziękować potrzeba, —
Do kogo wznosić błagające głosy,
By mnie — i bliźnim mym — udzielał chleba.

Tu wśród kochanéj wzrastałam rodziny
Wspólnym udziele szczęścia i niedoli —
Jakby w zaciszu cienistéj krzewiny
Latorośl dzikiéj — — — topoli.

Żegnam cię! żegnam! góro ukochana
Z szczytem brzozowym — gdzie wyższa nad światy
Siedziałam często — okiem niedojrzana
Strojąc mój umysł, w ideałów kwiaty. —

Mijały błogie dziecinne me lata,
A dusza w lubych wzrastała marzeniach
Wzrosła nad sferę niniejszego świata
Spadła — i tonie w przeszłości wspomnieniach.

Kołysko luba!.. wdzięczne serce moje,
Lepiéj się tobie, wywiązać niémoże —
Jak błagać nieba — żeby niwy twoje,
Ciągłéj swobody — oświécały zorze! — —

*Laskowa r. 1835.*

# DUMANIE NAD DUNAJCEM.

## IMPROWIZACYA.

Nad górą księżyc zapada
Naturę do snu porusza
Sercem mojém smutek włada,
W chmurze błądzi, tęskna dusza. —

Spoczywaj — wszelkie stworzenie
Zatop się, we śnie głęboko
Bo tu święte czuwa tchnienie,
Bo święte — nie zaśnie oko.

Spoczywaj — o Matko! miła —
Zaśnij w mogile głęboko
A gdy święta wzrośnie siła
Otworzysz omdlałe oko. — —

A ogień w twoim spojrzeniu
Błyszcząc jasno — i széroko —
Choćby w najgłębszém zaśnieniu,
Każde spiące zbudzi oko! —

*Nowy Sącz r. 1835.*

## TRZY SŁOWA WIARY.

1.

Cierpieć i błądzić bez końca
Między skłonności nawałem —
Spadać — wzniosłszy się nad słońca,
Serca ludzkiego udziałem!..
Serca — co go czucia fale
Coraz w inną wiodą stronę,
Co w niem słodycze i żale
Cudném ogniwem spojone.
I cóż wśród błędnéj ciemnoty?
W łudzącym świata zamęcie
Wskazuje mu drogę cnoty
W przyszłości, wiedzie objęcie? —
Wyższe pod niebios sklepieniem
Nad ziemskie słońca i mary
Widniejszym nad nie promieniem,
Błyszczy dla nas słońce wiary.

2.

Temu co wszystko stracił bezpowrotnie
Co mu być mogło najdroższém na ziemi,

Co opuszczony błąka się samotnie,
Pomiędzy morza i strefy obcemi. —
Co będąc świętém ożywiony tchnieniem,
Wspólne ma prawo do niebios opieki
Równie jak drudzy — Boga jest stworzeniem,
A przecież szczęścia wyrzékł się na wieki! — —
Co jest człowiekiem — a jednakże przecie
Wyzuty z prawa natury — z swobody
Co piędzi ziemi niémasz dlań na świecie
Co go niewdzięczne zdradziły narody! —
I cóż w cierpienia, i niedoli szczycie,
W dotkliwéj serca tęschnego potrzebie
Znosić mu każe tak okrutne życie? . .
Nadzieja — — — w Niebie!

3.

Ach! kiedy jedno człowieka marzenie
Rozleglejsze nad świat cały!
Zdołaż czczość wieczną serca i pragnienia
Zapełnić świat ten nie stały? . .
Ta dążność wieczna niezbędna tęschnota
Co i wśród uciech sercem ludzkiém miota
Ta mu wskazuje, i ta przewodniczy,
Że to co szuka — czego sobie życzy.
Jedynie znaléść i pozyskać może —
Miłując ciebie, nieszkończony Boże!.

## ROZPACZ SIÉROTY.

Gdy śmierć — koniecznie ofiary spragniona
Wśród ludów tłumu, chciwie za nią kroczy
Wydziéra ojca pośród dziatwy łona,
Czemuż mnie wprzódy nie zoczy? —

Gdy niemowlęciu spieszy wydrzéć matkę
Lub głodu zębem wyludniać obszary,
Nieść strach w pałace, jęk w ubogą chatkę,
Czemuż wprzód we mnie nie szuka ofiary?.

Kiedy najsłodsze rodziców nadzieje
Zakwitłe w córki siedémnastéj wiosnie
Tchnieniem posuchy niszczącéj owieje,
I kwiat więdnący podcina radośnie. —

Wziąwszy im wszystko — niezostawia obu,
Jak ścieszkę pustą wiodącą do grobu!
Czemuż?. gdy na łzy, i bóle ich głucha,
Czemu wprzód głosu mego nie posłucha?...

Gdy w nieprzejrzanym świata oceanie
Dwoje nieznanych spotyka się ludzi
A jedność uczuć — mocne przywiązanie,
W sercach obojga wzajemnie obudzi.

I dwie istoty jednę tworząc całość
Zaopatrzeni niezbędnym żywiołem
W ufność, szczónek i niezmienną stałość
Błędny step życia — idą przebyć społem,

Śmierć — niespodzianie — szczęśliwych znachodzi —
Strzałą zawiści w jedno serce mierzy —
Drugie zanurza w cierpienia powodzi
Czemuż wprzód sroga! — w mą pierś nie uderzy?.

Ach! bo w rozwarte przyjęta ramiona,
Nieujrzałaby łez przy moim skonie!
Bo czyż siérota biédna opuszczona
Spocznie gdzie miléj — jak na śmierci łonie?.

Lecz dokądże mnie — myśl czarna uniosła?.
Serce rozpaczy zamroczyła cieniem!
Czyż na to w wierze dusza moja wzrosła?.
By dziś pod ziemskiém upadła cierpieniem!

Nie! — żyć wśród trosków z męczeńskiem poddaniem —
Nieść pomoc bliźnim, pod ubogą strzechę
I w szczęściu drugich znajdować pociechę
Chrześcianina jest to powołaniem. —

## STUDNIA KOCHANKOW

### w Jażłowcu

*(z powieści Gminnéj.)*

Gdzie wzgórek łąką pokryty zieloną
Na nim kwitnąca płonka się rumieni
Dziewoj wiejskich zebrało się grono —
I wśród modlitew i pobożnych pieni
Do kościoła wiły wianki
Z róż polnych — maryi mięty
Bławatu i macierzanki
Na procesyi — obchód święty.
Ściészką; co wężem leciała przez błonie
Kroczył ubogi — blady — pochylony —
Nie wiek — lecz smutek tłoczył jego skronie —
I rzekł: „niech będzie Chrystus pochwalony!“
— Teraz — i przez wieków wieki,
Witajcie — z któréj że strony
Pan Bóg was do nas prowadzi?
— Jak świat długi — świat daleki
My ubodzy biegniem radzi.

— Cóż wesołego dziadku nam powiécię?
— Biada dziéweczki żebrakom na świecie
To jest nowina — którą wiem powiedzieć...
— „Idąc ze świata — musicie coś wiedzieć?."
— Już od godziny — jak z wieży kościoła
Płaczliwe dzwony bliski nieszpór głoszą
Dziéwki — chłopaki — z sąsiedniego sioła
W zawody ziele, i tatarczuch znoszą. —
Czemuż, wyście się dzisiaj tak spóźniły?.
Z ubraniem matki najświętszéj obrazu?.
Wszak dawniéj wasze wianki piérwsze były,
Do święcenia na ółtarzu?.!!
— To wyście widzę, czasy dawniejszemi
Musieli bywać, w naszéj wsi już nie raz?.!!
— Każden krzak ciernia — każdą skibę ziemi,
Znałem tu niegdyś! — znam może i teraz....
— Więc i o śmierci nieszczęśliwéj Klary,
Dójść was musiała, wieść smutna z daleka?.
— Od przechodniego — słyszałem coś człeka,
Lecz słowom jego, niechciałem dać wiary.
Prawdę wam — prawdę — powiedział przechodzień
Lecz czegożeście nagle tak pobledli? — —
— Los nieszczęśliwéj — litości był godzien —
— Trzeba więc, byście na chwilę usiedli. —
Ubogi chętnie posłuchał téj rady
I na trawniku usiadł między niemi
Spuszczoną powieką łzawe pokrył ślady
Głowę wsparł na kiju — pochylił ku ziemi.

## DZIÉWCZE.

Klara, bez ojca bez matki siérota
Od lat najmłodszych, służyła niebożc
W sercu jéj była, pobożność, i cnota
Na licu kwitły lilije, i różę.
A przytém, jakie dziéwcze pracowite!
We żniwa piérwsza bywała na przodzie
Z zimy najwcześniéj, bywały rozwite
Ruta, i bożedrzéwko w jéj ogrodzie.
Chociaż uboga — bez mienia — bez wiana
Z obcych wsi do niéj, przyséłano w swaty
Lecz Klara zimna i nieubłagana
Każdego próżno odprawiła z chaty.
Ojcowie na to głową potrząsali
Ludzie rozmaite dawali przyczyny
Parobcy; którzy wzgardy jéj doznali,
Śledzić przysięgli każden krok dziewczyny. —
Tam — jak za kępy starych lip przed nami
Dwóch wież błyszczące wyziérają szczyty
Za tem drżących osików rzędami
Możnością panów swoich znamienity.
Zamek odwieczny — mchem porosłe stopy
Z pleśni obmywa — w czystéj strypy wodzie
I dumną głowę wznosi nad okopy —
Tam Klara plewić, chodziła w ogrodzie.
Tam czas z największą pędziła ochotą
Bo tam Hiéronim syn dziedzica młody
Słynący męztwem — pięknością, i cnotą
Lubił samotny — przebiegać ogrody.

Utraconego szukać w nich pokoju —
Lub na murawie — rzucony niedbale
Wśród woni kwiatów odetchnąć po znoju,
Z nieśmiałą Klarą gwarząc poufale —
Tak przemijały i dnie i godziny,
Wreszcie upłynął i rok niespodzianie
Pan — sercem przylgnął do biédnéj dziewczyny —
I swéj miłości zrobił jéj wyznanie.
Lecz Klara w pracy zatopiona cała
I oczów podnieść na niego nie śmiała
Tylko jéj serce mocniéj uderzyło
Bo w niém, i słodko, i smutno jéj było.
A zgłębi duszy, upadła z westchnieniem
Łza — i obwisła na krzaczku rezedy
Którą plewiła właśnie Klara wtedy.
Upokorzona — odpowié ze drżeniem.
Omyliłeś się w twém mniemaniu Panie!
Nie sądząc cnoty — znaleść w moim stanie
Jestem ubogą nędzy się nie wstydzę
Lecz kocham cnotę — podłością się brzydzę. —
— Nie sądź o Klarze! „Hiéronim odpowié
Że wszyscy w cnotę, nie wierzą panowie
Ja ciebie godną méj ręki znajduję —
Z sercem obrączkę ślubną ofiaruję.“ —
Ale inaczéj chciało przeznaczenie —
Ledwo miłosne zmienili pierścienie,
Dziczą od wschodu poczerniały pola
Tatarzyn zalégł równiny podola.
Chmurą szarańczy — polotem sokoła
Śmierć i zniszczenie roznosi do koła,

Ogniem wsie płoną, upadają grody,
Krwią się wzdymają, ciche Dniestru wody. —
Mikołaj Jazłowiecki choć podeszły wiekiem
Lecz młody męztwem — które wysał z mlékiem
Sam na okopy wiedzie bitne szyki,
Z drugiemi syna szle na najezdniki. —
A żegnając go — rzekł dobitnie: „Synu!
Twéj waleczności nieżądam dowodu,
Dałeś ich wiele — ale strzeż się czynu
Którembyś schańbił zacność twego rodu.
Przekleństwo ojca ściągnął na swe plemię!“ —
Hiéronim stanął — jakby wryty w ziemię
I milczał długo, szukając po głowie
Treści istotnéj, w dziwnéj ojca mowie. —
Już odgadł wszystko —! — zbliżył się mrok szary -
Cwałem koń siwy — niesie go do Klary —
Od zgasłych świéżo słonecznych promieni
Niebo zachodnie jeszcze się rumieni.
Jak wydobyty z pod deski grobowéj
Blady pod niebem, wisiał księżyc nowy
Gwar dzienny — w ciszę zmieniał się powoli,
Po błoniu jagnię młodziuchne swawoli.
Krówki wracają z mlékiem do obory
Wół rozjarzmiony spieszy na ugory.
Chłopek co przez dzień siano składał w brogi
Wchodzi z grabiami w swéj zagrody progi.
A z nim i Klara przyszedłszy od siana
Przed drzwiami chaty siadła zadumana —
Czy Hiéronima dawno nie widziała,
Czy o wyprawie wieść ją doleciała.

Smutne przeczucia jéj duszę nękały
Może zapomniał.... a może niestały!..
Już był przed chatą — ona nie wybiegła
Stał przed nią chwilkę, zanim go postrzegła.
I długo — długo potém się witali —
I jeszcze dłużéj z sobą rozmawiali —
I stałą wierność zaprzysięgli sobie
Czy to na ziemi, czy w niebie — czy w grobie. —
A stary Janek siwobrody dziadek
Powiernik uczuć — rozmowy ich świadek,
Co Klarze ojca miejsce zastępował
Przyjął do służby — a za swoją chował.
Pokornie siwéj uchyliwszy głowy
Temi się ozwał do kochanka słowy:
Paniczu miły! w tym wysokiem stanie
Na coć się przyda to nizkie kochanie?
Alboż twój rodzic pozwoliłby na to,
Żebyś się panie żenił nie bogato?
A jeszcze z rodu nizkiego dziewczyną?...
Oj nigdy!. prędzéj rzéki w stecz popłyną.
I prędzéj Tatry — w ziemię się zapadną
Prędzéj Tatary zamek ten owładną
Niż pan Jażłowca z swą wolą stalową
Córkę wieśniaka — przyjmie za synową! —
Hiéronim milcząc obok Klary siedział
Bo czuł że starzec prawdę mu powiedział —
Lecz przedstawienia wszelkie nadaremne
Gdyż mu bez Klary życie nieprzyjemne.
Już się zbliżała godzina świtania
Nadeszła smętna chwila pożegnania

Gwiazdy rzęsisto rozsiane po niebie
Poczęły gasnąć — długo patrzali na siebie.
Z głuchem — przeciągłém — bolesnym milczeniem
Klara łez rzeką — Hiéronim westchnieniem
Pożegnali się — siwek grzebnął nogą —
Już zniknął — pędząc ku zamkowi drogą.
Tylko słabnące w dali pośród ciszy
Siwka tętnienie Klara jeszcze słyszy,
I znów jéj serce mocniéj uderzyło
A w niém i smutno i głucho jéj było!..
Poszedł na boje! — albo nie powróci —
Lub śmiałość wroga na zawsze ukróci
Boże błogosław waleczne zamiary
Wybawcą kraju — przywiedź go do Klary!...

---

Rok mijał właśnie — już wracają z wojny
Pierzchnął najezdnik — już i kraj spokojny,
Zdobyte drogie łupy na ciemiężcy —
U nóg kochanek składają zwycięzcy. —
Mija rok drugi — Klara próżno czeka
Hiéronim powrót swój do domu zwleka
Ona wychodzi na wzgórze co ranka
Stęschnioném okiem wygląda kochanka.
I tam ją zorza co wieczór znachodzi
Ale nadzieja co dnia ją zawodzi
Bo syn starosty pozostał w stolicy
Gdzie się w książęcéj zakochał dziewicy. —

Żebrak z cichego ocknął się wzruszenia
I w szał przechodząc nagły uniesienia
Wołał: „To potwarz“ — to nikczemna zdrada
Hiéronim zawsze za Klarą przepada!
Ja go widziałem, nie dawno w stolicy
Ciągle o lubéj wspominał dziewicy,
Zaledwo dzikie upokorzył wrogi
Spieszył stęschniony w swe rodzinne progi
Ale go ojciec zatrzymał u dworu
Bojąc się syna płochego uporu,
A żeby świętéj krwi przodków nie zmazał,
Rok drugi w świecie pozostać mu kazał.
Przepełniła się cierpliwości miara
Gdy ojca próżno przebłagać się stara
W ubogą suknię wieśniaka przebrany
W krótce pośród was — stanie nie poznany.
— Klara choć wierzyć niechciała téj wieści
Serce jéj skrycie przeszył grot boleści,
Mnie tajemnicę tylko powierzyła
Którą starannie przed światem taiła.
Lecz mimo smutku ogromu cierpienia
Z ust jéj nie wyszło słówko złorzeczenia —
Temu, co płocho szczęścia ją pozbawił —
Młode jéj lata goryczą zaprawił! —
Owszem na siebie kładła winę całą
Że mogła powziąść, nadzieję tak śmiałą —
Im więcéj była pozornie wesoła
Tem bardziéj krasa znikała z jéj czoła.
Tym więcéj rozpacz trawiąca ją skrycie
Niszczyła zdrowie — podrywała życie

Raz — było — w oktawę Bożego święta
Według zwyczaju — z całéj wsi dziewczęta.
Jak dziś — w to miejsce wszystkie się schodziły
I z ziela wianki do święcenia wiły.
Klara, co zawsze, najskładniéj w kaplicy
Maiła w kwiat — obraz Bogarodzicy.
Piérwsza z procesyą, niosła go w niedzielę
Piérwsza z wiankami bywała w kościele,
Dziś się spóźniła — dla czego?!.. nikt nie wié —
Czy zapomniała o wiankach i spiéwie? —
Czekamy dłużéj — jéj nie widno jeszcze
Jakieś nas tchnęły — przeczucia złowieszcze
Jedne do chaty poszły się dowiedzieć
Drugie na wzgórek, gdzie lubiła siedzieć.
Nikt jéj nie widział — próżne wszelkie zwiady
Przez łąkę tylko — ku zamkowi ślady.
Znać było w trawie — Jan przypomniał sobie
Że tam do studni w południowéj dobie.
Po świeżą wodę do kwiatków iść miała —
Które na wianki z rana uzbiérała,
Bo w niezgłębionéj zamkowéj studnicy
Sławna jest woda — w całéj okolicy. —
Tam więc być musi! — nie długa narada
W zamku, na pewne, szukać jéj wypada —
Lecz z wieży — szósta wybiła godzina
Dzwón, po raz drugi nieszpór przypomina.
Więc wszystkie spieszno biegniem do kościoła
Nim zakończenie Różańca obwoła. —

Gorejąc światła — dymią się kadzidła,
Lud pod świątyni opiekuńcze skrzydła,
Garnie się tłumem — i z głosem kapłana
Łącząc śpiéw korny — pada na kolana.
Ksiądz wzniósł do góry, obraz Zbawiciela
Błogosławieństwo dokoła rozdziela,
A zgromadzeni, przed Pańskie ołtarze,
Wszyscy do ziemi, pochylają twarze. —
Oprócz jednego, co w światowéj dumie,
Stał jak słup prosty, nieugięty w tłumie —
Czy oczémś ważném bardzo zamyślony,
Czyli nawałem cierpień przyciśniony.
Straciwszy ufność, i nadzieję w Bogu —
Modlić się tylko, przychodzi z nałogu?.
Czy — błędne wiodąc w około spojrzenie
Robak zgryzoty toczy mu sumienie? —
Ludzie na niego patrzali się długo,
Z kąd jest? pytali — był on dworskim sługą.
Już obnieśliśmy do koła obrazy,
Już kapłan Salvum — odspiéwał trzy razy,
Już się chyliło, słońce do jeziora,
Gdy przypadł goniec zalękły ze dwora,
Mówiąc że w studni zamkowéj pływało,
Kobiéty wiejskiéj utopione ciało.
Biegną więc wszyscy, co byli w kościele
Niemiły dworak, biegnie na ich czele.
Odgadłam zaraz — kto był tą kobiétą,
Przypadłam piérwsza — już ją wydobyto
Klara wybladła leżała na trawie
Jakby dopiéro co zasnęła prawie.

Uśmiéch z cierpieniem — błąkał się po twarzy
Niby coś słodko — bolesnego marzy
Dziwny wypadek!.. szemrali do koła,
Najpobożniejsze dziéwcze z tego sioła,
Żeby na własne targnęła się życie? —
To być niémoże — chociażby i skrycie,
Rozpacz jéj młode, ogarnęła serce!
— Boże choć późniéj — wskaż nam jéj mordercę,
Niech z rąk twych słuszną kiedyś przyjmie karę
Za tę niewinną swéj zbrodni ofiarę!
Lejąc łzy rzewne, modlił się Jan stary,
Nad martwém ciałem utopionéj Klary. —
I na dworaka, patrzał oko w oko,
Jakby mu w duszę, zajrzéć chciał głęboko.
Lecz ten rzekł z dobrą sobie zawsze miną:
„Któżby się pastwił, nad biédną dziéwczyną
Widziałem dzisiaj — jak w samo południe,
Wodę do dzbanka, czérpała u studnie. —
A potém długo zamyślona stała,
Myśl samobójstwa — pewno ją nękała.“
Żaden z przytomnych — w duszy choć złośliwéj
Nieśmiał na chwilkę dziéwczynie cnotliwéj
Przypisać czarnéj — samobójstwa zbrodni,
Lecz niémasz śladu — któż więc udowodni,
Za co nieboga, ofiarą dziś padła?
A choćby może — czyja myśl odgadła —
Od kogo, za co — — i któż się odważy,
Istotnych wskazać — przed światem zbrodniarzy!.
Wiedziano o tém dobrze w okolicy,
I choć jéj zwłoki niestały w kaplicy,

Ani żałobne kapłanów śpiéwania,
Do ostatniego wiodły ją mieszkania,
Ludzie na pogrzéb zewsząd się schodzili
I łzami żalu, ciało pokropili...
Po za wsią w polu — grób dla niéj wybrano.
I przy granicy, pogrzebać kazano.
Noc była cicha — głucha, i pogodna
Jak lica zmarłéj — posępno-łagodna,
Puszczyk samotny — gdzieś na wierzbie jęknął—
Rydel grubarza, raz ostatni brzęknął
I znowu cicho — — — tylko ludzi łkania,
Już odchodzących — czasami stąpania.
Słychać niknące, coraz słabiéj w dali;
Wreszcie i płakać — i stąpać przestali.
Księżyc twarz smętną kryjąc za obłokiem,
Czasami tęsknym wyziérał półokiem
Gwiazdy gdzie niegdzie światełkiem mrugały
Jak gdyby w oczkach łezki wstrzymywały
Widzicie prosto — przed nami na dole,
Miedzą zieloną, jak leci przez pole?
Na niéj się czernią krzaki ostrężyny,
Tam to grobowiec, nieszczęsnéj dziewczyny
Samotny! kępa kamieni pokrywa
Ozdobą jego, oset i pokrzywa —
Na środku biały krzyż drewniany wbity,
A na nim wianek, suchy z ziół uwity.

---

I znowu szósta wybiła godzina
Dziéwczęta spieszno biegną do kościoła,

Dzwon raz ostatni nieszpór przypomina,
Żebrak im starczyć w biegu nie podoła,
I nie zwykłego doznając wzruszenia,
Osiadł przy drodze by odpocząć chwilę
Pierś mu gwałtowne rosparły westchnienia
Otarł łzy — powstał — i szedł ku mogile.
Zeszedł dzień jasny — a poranku zorza,
Ogniem rubinów oblała wierz szczyty,
Pogody blaskiem ozłociła wzgórza
I grób pod kępą, kamienia ukryty,
I krzyż drewniany, na grobie zatchnięty,
Wesela swego, dosięgła promieniem,
Na krzyżu wianek święcony uschnięty,
Przelotném wiatru kołysząc westchnieniem.
Ale ni zorzy ogniste spojrzenia
Zdołają ze snu, pielgrzyma obudzić,
Ani żeźwiące poranku westchnienia,
Żaru boleści, w piersiach mu ostudzić.
Jak wczoraj jeszcze przychodząc z daleka,
Grób ognistemi uściskał dłoniami,
Tak dziś — do ziemi przysiąkła powieka
Rosnący na nim chwast obléwa łzami.
Pobielał oset — pożółkła pokrzywa,
Pod westchnieniami spalone częstemi,
Zapewne wszystko w tym grobie spoczywa
Co najdroższego miał kiedyś na ziemi!
Lud o pielgrzymie, dziwne wieści prawił,
Ten nad nim płakał — drudzy się rozśmiali,
Ów się rozrzewnił — tamten się zabawił,
Wreszcie do zamku staroście znać dali,

Czy tak ciekawy, czyli niespokojny,
Natychmiast konno — stanął pod mogiłą,
Dworzan za sobą, wiodąc orszak zbrojny,
Aby pielgrzyma wziąść przemocy siłą.
Gdy omdlałego podniesiono z ziemi,
Starosta chciwie — zajrzał w twarz żebraka
I pod sukniami pielgrzyma zdartemi,
Poznał ze zgrozą, swego jedynaka,
Skinął na sługi — niewyrzekłszy słowa,
Skinieniem również, nakazał milczenie,
Ale go każden starannie dochowa,
Bo znają wszyscy starosty skinienie.
Z iskrzących oczu — myśl jego odgadli,
A więc na zamek co koń starczyć zdoła,
Pędzą, stanęli — już do bramy wpadli,
Skrzypły wrzeciądzę — i cicho do koła.
Już o pielgrzymie, ludzie zapomnieli,
I dużo niedziel upłynęło potém
Nim znowu z zamku wieść tę posłyszeli.
Że syn starosty, stanął już powrotem.
Dworak co niegdyś — Klarę kochał skrycie,
Dla Hiéronima od niéj pogardzony,
Późniéj o zemstę czarną posądzony,
Iże przez zemstę odebrał jéj życie;
Zniknął gdzieś nagle — szukają go wszędzie,
Gdzie się obraca? nikt nie wié powiedzieć
Jeźli go znajdą — co się z nim dziać będzie
Tego nikt naprzód niemógł się dowiedzieć
Raz gdy się wielka zbliżała niedziela,
Wieści od wschodu za wiatrem krążyły,

Że blisko grobu, osiadł Zbawiciela
Jakiś pokutnik — z północy przybyły.
Popioły Klary — z pod kępy kamienia,
Dobyte — ze czcią w kościele schowano,
Studnią zamkową, od tego zdarzenia,
Studnią kochanków na wieki nazwano.
Hiéronim zwrócił miecz swój na pohańce
Obóz mu domem, a koń był siedzeniem.
Zabawą krwawe z Tatarami tańce,
Zbroja żelazna, powszechném odzieniem,
Związki ślubnemi na zawsze pogardził,
Wrogom od wschodu niosąc opór mężny,
Serce zmiękczone, na nowo zatwardził,
Z nim Jazłowieckich zagasł ród potężny.
Dzisiaj — gdy tęschny wędrowiec w te strony,
Pomimo woli błędne wiodąc kroki
Szczątkami dawnéj wielkości nęcony,
Ciekawe oko wzniesie pod obłoki,
I cóż na wieży oberwanéj szczycie,
Postrzegnie chciwa pielgrzyma źrenica?.
W szkielecie martwym, wielkich przodków życie
Daléj późniejsze znaki półksiężyca,
Wzdycha żałośnie!! ból mu serce ściska,
I dla uczucia tchu w piersi niestanie,
A w tém jaskółka na szczycie zwaliska,
Zanuci smętnie — i przerwie dumanie!.

## DO IMIONNIKA

### dla młodéj dziewicy.

Znanaż ci skromność fijołka
Lilij sukienka niewinna,
I woń macierzanki ziółka,
Cicha, miła, dobroczynna?.
Bukiet z kwiateczków i ziółek,
Uplatam dla ciebie mały;
Znajdziesz w niem skromny fijołek
Lilij powabnych kwiat biały,
Wdzięczny, wytrwały bławatek,
I macierzanki gałązki —
Niech każden z osobna kwiatek
Z téj poświęconéj zawiązki,
Fijołek — lilia, bławat, macierzanka,
Swych ci własności użyczy —
Strzegąc życia twego wianka,
Od piołunowych goryczy!

*R. 1843.*

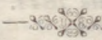

## DO F. A.

O! nie zatruwaj twojego żywota
Próżną rozpaczą — pomnąc jak niedługi
Czas naszéj nędznéj po ziemi żeglugi,
Wartoż się trapić o nędzną garść błota?.

Która się w szczyptę zmieniając popiołu,
Wszelkie przesądy, uciechy — marzenia,
Bóle — uśmiéchy — łzy i utrapienia,
Z pamięcią o nas — zasypie pospołu!.

A gdy nam wyższe, spełnią się nadzieje
Troski dzisiejsze, będziem liczyć za nie,
Bo tam! szczęśliwość poznamy bez granic
Spokojność któréj, nic już niezachwieje.

Gdzie nie źli ludzie — lecz Bóg ludzi sądzi
Bóg miłujący — jego wprawne oko,
W tajni serc naszych, czytając głęboko,
Zna kto z umysłu — kto z nieszczęścia błądzi.

*Ostrów 18. Stycznia 1844.*

## DO TRĄBKI
## nocnego wartnika.

Samotna trąbko wiejskiego wartnika,
Kiedy wśród nocnéj odezwiesz się głuszy
Śpiéw twój przez ucho — w głąb serca przenika
I tysiąc wspomnień, rodzi w czułéj duszy!

Myśl całą w lubą, dawną przeszłość wplata
Zbiegłą — tak żywo stawi przed mém okiem
Jakby mojego niemowlęctwa lata;
Z wczorajszym wody, ubiegły potokiem.

Pamięć i serce — wspomnienie kołysze
Smutki, słodycze — toczą się w nich kołem,
Zbiegłego czasu, szmér w twym wdzięku słyszę
Na dno przeszłości, spływające społem.

I widzę całéj rodziny piastóna
Stary dom biały — na zieloném wzgórzu,
A niby czujne straże opiekóna,
Lipy odwieczne na schludném podwórzu.

Chaty po górach — rzucone wśród gaju,
I cél przechadzki — ten krzyż na dolinie
I według śpiéwek goralskich zwyczaju,
To hu!!.. przeciągłe — co pośród skał ginie.

Tam, po za rzéką przy szumiącym młynie
Lepiankę biédnéj schorzałéj nędzarki,
Gdzie po odbytéj nauki godzinie
Nieśliśmy léki, i inne podarki. — —.

Płaczące brzozy, dzikie skał urwiska,
I wód zielonych, bezdenna głębina —
Gdzie jednak czasem, nęciły nas z bliska,
Kwiatek dziéwanny — słodka ostrężyna.

To bzy kwitnące — lilie tulipany.
W ogrodzie rzędy pachnące, goździków,
A po nich mnogość, i rój niesłychany,
Buczących chrząszczy — i nocnych pawików.

Ach! jak tam miło — jak lubo dokoła!
Księżyc tak jasno — tak wesoło świéci
W tém niespodzianie, głos jakiś zawoła,
„Dziesiąta bije — spać pójdziemy dzieci!“

Ten głos znajomy, słodki ukochany.
I dla rodziny naszéj, tyle drogi!
Im mniéj życzony, im mniéj spodziéwany
Tyle w téj chwili wydał nam się srogi. —

Bo po tych słowach w matczynéj sypialni
Dotąd otwarte okno, zatrzaśniono,
Świéca błysnęła na jéj gotowalni,
Szyby zieloną storą zapuszczono.

Trąbka wartnika także przypomina,
Ostatnie dając do spoczynku hasło;
Że już dziesiąta wybiła godzina,
W ojca pokoju téż światło zagasło...

Trąbko!.. i czemuż głos twój naraz smętny?.
I we mnie smętne uczucie powstało!
Dręcząc pytaniem, jakby wróg natrętny:
I gdzież to wszystko!. wszystko się podziało?.

Te sny — przechadzki — omamienia światy — —
Te bzy, motyle, i wonne goździki?..
W kłębach chwast buja — wyschły piękne kwiaty!
W ogrodzie trawą zarosły chodniki!.

Gdzie jest twój ojciec?. ach! on dawno w grobie!.
A matka? — żyje — lecz nie jest szczęśliwą!
O trąbko luba! jak chcesz tak nuć sobie
Lecz stronę serca, oszczędzaj dotkliwą!

Gdy wśród miłego przeszłości wspomnienia
Bolesne *teraz* pocznie miotać duszą
Wtedy twe żewne pieszczotliwe pienia,
O! trąbko luba! niechaj je zagłuszą!

*W Ostrowie 3. Stycznia 1844.*

## DO G. S.

### IMPROWIZACYA.

W błogim spokoju niech ci życie płynie,
Najmniejsza troska, z daleka ominie,
Szczéry przyjaciel tylko — ściska dłonie;
A do wawrzynu — co twe zdobi skronie —
Niech półkownika! — pociecha z twych dziatek
Co dnia przyrzuci, świéży szczęścia kwiatek.

*24. Marca 1844. w M. S.*

## OD ŻONY,

## na krzyż grobowy męża.

Ile dla mnie powabów świat ten mieścił w sobie
Cokolwiek mnie na ziemi, do życia wiązało,
Prócz sierót co mi czworo po tobie zostało;
Wszystko już z tobą dla mnie, zamknięte w tém grobie!!

2.

Dla ulgi sercom, bolesnéj pamięci,
Twę miłość dla nas — twoje ciche cnoty,
Pozwól niech dzisiaj tém głazem uświęci,
Żony tęschnota — żal syna sieroty!

## NA ŚMIERĆ
## starego Barda.

Drzewo wawrzynu — co gałązki swemi,
Przez wiek zdobiło skroń rodzinnéj ziemi,
Przetrwało letnie i zimowe burze
Dziś — dług niezbytéj oddając naturze,
Już blisko setném wysuszone latem,
Gdy inne drzewa świeżem bielą kwiatem
Kiedy powietrzem rozkosz Maju włada
Na obcéj niwie, pień szanowny składa!
Wieszczu!.. i cóż nam twą stratę nagrodzi?
Boleść zostałych — współbraci osłodzi?
Co z tobą szereg lat przeżyli długi,
Dzielili prace — trudy i zasługi?.
Czemu tak nagle — tak niespodziéwanie
Rzucając ziemskie twoje powołanie,
Pasmo poświęceń, tułactwa mozołów,
Matkę twych drogich, pozbawiasz popiołów?.
O czemuś życia, nieprzedłużył doby
Jéj przesilenia nie czekał choroby,
Żeby za twoje stałe dla niéj chęci,
Mogła coś dla twéj uczynić pamięci.

Ach! bo twe prace zatrzymały nieba,
Widząc że spocząć — raz było ci trzeba —
Bo czułeś — że wiek cały twoich czynów,
Mógł jéj już innych usposobić synów
Którzy ocenią twe usiłowania,
Uznają wielkość — w ich mocy wytrwania
I w potomności twe imię wysławią,
I godzien zasług, pomnik ci wystawią,
Nie z głazów — ani kruśców okazałych
Nie z łez niemęzkich — żalów zniewieściałych,
Bo te, na twoim oddali pogrzebie;
Resztę nam ustąpili, wylewać za ciebie
Lecz w cnotach twoich czérpając przykłady;
Mężu! w twe szczytne, godnie wstąpią ślady,
Przez nich pamięć twa, nigdy niezaginie,
I z pokolenia, w pokolenie spłynie!

*R. 1841.*

## OKULICE.

### Zdarzenie prawdziwe.

Od Bochni co solą słynie.
Od ujścia Raby do Wisły;
Niedaleko — na równinie,
Błękitne dymy zawisły.
Pod srzezogą rozrzucone
Kilkadziesiąt drzymie chat,
Jest to miejsce ogłoszone,
Za święte — od dawnych lat.
Tam Maria wsławiona cudem,
Z dzieciną, czuwa nad ludem.

Przy drodze na małéj błoni,
Z dala widny, czysty, biały,
Murowany jak na dłoni,
Stoi kościół okazały.
Tam przed laty niedawnemi!
I z pałaców i z pod strzechy,
Żebrak, pielgrzym, dziedzic ziemi,
Zarówno szukał pociechy.

Cichy bocian przy kościele,
Wróż łask nieba — gniazdo ściele.

Dziś choć zmieniły się czasy,
Choć bożyszczem, fałsz i złoto —
Pobożność szczéra — z prostotą
Nie każdéj własnością klassy —
Tam zawsze u stóp ółtarzy
Co święto Bogarodzicy;
Tłumy leżące na twarzy,
Korzą się matce dziewicy.
Przed Nią — przed świętą dziécina,
Łzy bólu — łzy skruchy płyną!

Przeszłéj wiosny pomnę — właśnie
W trzecią po świątkach niedzielę,
Na ołtarzu światło gaśnie,
I gwar umilkł po kościele —
Lud w jednę skupił się stronę.
Oblégł kazalni podnóże,
Kapłan wyszedł na ambonę
Ogłaszać mu słowo Boże,
I do trzódki chrześcijańskiéj,
Rzekł pastérz owczarni pańskiéj.

Najmilsi!. korzcie się Bogu *)
Wszystkie troski nań składajcie,

---

*) *Lekcya z listu 1. S. Piotra na niedzielę III. po świątkach.*

I do niebios chcąc dójść progu,
Jego opiece ufajcie.
Czuwajcie nad sobą szczérze,
Niech trzéźwość serca przenika
Niezachwiani stójcie w wierze,
A zwalczycie przeciwnika,
Co do zguby waszéj dąży,
Za zdobyczą, jak lew krąży.

I daléj święte przykłady,
Czytał im z księgi żywota,
Dawał nauki i rady,
Jak ma być pełnioną cnota —
Wreszcie — temi skończył słowy:
„W pewnéj wsi przed pięciu dniami,
„Dziewczynka ubogiéj wdowy,
„Zginęła z pola z krówkami,
„Matka szuka jéj w rozpaczy,
„Ślad za sobą łzami znaczy.

„Chrześcijanie! ufam zatém,
„Gdy kto spotka błędne dziécie,
„Że jéj będzie siostrą bratem,
„Że ją przyjmie w dom swój przecie.
„Albo gdyby o niéj wiedział,
„Tu ją do mnie przyprowadzi,
„Pomnąc co Chrystus powiedział:
„Że kto siérocie poradzi,
„Da jéj schronienie pociechę,
„Boga przyjmuje pod strzechę!

Ksiądz poszedł — wszyscy milczeli,
Nikt się z tłumu nieodezwał,
Widno — że próżno ich wezwał,
Bo dzieciny nie widzieli.
Pomiędzy ludem ukryta,
Klęcząca matka boleje,
Choć rozpacz za duszę chwyta,
I w niéj osłabia nadzieję —
Choć serce pęka z boleści;
Wiara, ufność w niém się mieści.

„Pod stopy twoje się ściele,
„O Matko! bądź mi pociechą!“
Jęk się rozległ po kościele,
W czułych sercach znalazł echo,
Łzy nie z jednych oczu cieką,
I święta Matka dziewica,
Co ciérpiących jest opieką
Zda się ku niéj chylić lica,
Z Boskiéj dobroci wyrazem,
I z Boską dzieciną razem.

Lecz jakaż to nagle zmiana,
W rysach biédnéj — w widzów gronie?.
Czy to owieczka zbłąkana
Zawisła na matki łonie,
Czy cud nowy?. tak — to ona!
Tuli się do niéj w milczeniu,
To owieczka znaleziona!
Matka w głuchém osłupieniu,

Nieśmié cisnąć jéj do łona,
Bo nie wierzy — czy to ona!.

Aż po cichéj żewnéj chwili,
Jęk powtórzyły sklepienia,
Lecz tą razą słyszeć miléj
Dziękczynne matki westchnienia.
Dziéwcze ściska ją rączkami,
A ta — jéj lica jéj czoło,
Okrywa pocałónkami;
I nic niewidzi w około,
I w szérz i w zdłuż — nic na świecie,
Tylko odzyskane dziécie!

Już przed cudownem obrazem,
Spełnia się ofiara święta
Niewiasta z dziewczynką razem,
Klęczy pokorą przejęta —
Łzom szczęścia co z ócz jéj płyną,
Najświętsza Matka dziewica
Wraz swoją Boską dzieciną,
Boskiém uśmiechem przyświéca —
Pienia pod niebo się wznoszą,
I świętość Maryi głoszą.

Opisane tu zdarzenie miało istotnie miejsce w Okulicach, gdzie jest matka N. cudowna, w pomienionym dniu i czasie. Ośmioletnia dziewczynka, córka ubogiéj wdowy, pasąc bydło swojego gospodarza — zapuściła niechcący w szkodę — bydło zajęto do obcego dworu, a dziéwcze bojąc się powrócić do domu, zabłąkało się do wioski o milę odległéj. Niewiasta, która przyjęła ją do siebie, i do matki odprowadzić zamyśliła, w następującą niedzielę przybrawszy ją w cienkie swoje bielizny, przywiodła do kościoła Okulickiego w nadziei, że tam najprędzéj spotka jéj matkę. — Wypadek zdarzył, że poczciwa kobiéta z dziewczynką stanęła właśnie obok matki téj ostatniéj, która wszelako (dla zmienionéj odzierzy) niepoznała swego dziécięcia, aż jéj łkania po ogłoszeniu kapłana zwróciły uwagę dziéwczęcia — i rozrzewniające i czułe nastąpiło powitanie.

*Przypisek Autorki.*

# PIEŚNI

# EWANGELIJNE.

# POEZYJ

## CZĘŚĆ DRUGA.

## 1.

## PIEŚŃ PORANNA.

Ledwo pamięć zbłąkaną z krainy uspienia,
Blask poranku do życia przywoła na nowo
Piérwszą myśl duszy mojéj — piérwsze serca tchnienia,
W pokorze — do Cię wielki odsélam Jechowo!.
Co dnia słońce twarz jasną, po za mgły wychyla
Tę samą co w zorz blasku, tonęła z wieczora,
Co dnia ta sama ziemia, słońcu się przymila
Tylko człowiek niezawsze ten sam co był wczora,
Bo z każdym rankiem, z każdém obudzeniem
Starszy dniem jednym — starszy przewinieniem!

O Boże! coś przez swoją dobroć niepojętą,
Dla nàs księżyc i gwiazdy, zawiesił na niebie
O Ty! coś w dzikim Saulu, wzbudził iskrę świętą,
W tenczas gdy spieszył w bliźnich prześladować Ciebie!
Jeżeli niedołężność lub ułomność moja,
Przeciw twéj świętéj wykroczyła woli;
Ojcze dobroci! niech się wielkość Twoja
Nicością moją, przebłagać pozwoli!

Bo czémże jestem przed Twoim obliczem?.
Nędznym athomem, prochem, i niczém!

Jeżeli zaród złego w méj się gnieździ duszy
Uderz w nią Panie! niechaj łzę żalu uroni,
Serce zepsuciem tchnące niech cierpienie skruszy
Nie dla bojaźni gromu co w Twéj miga dłoni
Albo klęski — co groźno u stóp Twoich drzymie
Jednego tylko chciwie czekając skinienia,
Aby szérzyć po świecie swe kroki olbrzymie
I ludom truchlejącym zawyć pieśń zniszczenia
Ale dla tego — niech w smutku boleje,
Że Twéj miłości straciła nadzieję!

Boże! dziś z każdą chwilką mojego działania
Z każdą myślą do Ciebie, pragnę się odwołać,
I Twoje najdrobniejsze spełnić przykazania,
I moim obowiązkom najcięższym wydołać,
Panie! racz tylko wesprzéć niedołężne chęci,
Siły słabe w ucisku, żeby nieustały,
A najprzód wyryć w duszy mojéj i pamięci
Prawo dla szczęścia ludów, dla twéj wiecznéj chwały
„Żeśmy nad wszystko winni kochać Ciebie —
„A w Tobie bliźnich — jakby samych siebie!“

## 2.

## NA BOŻE NARODZENIE.

Jakaż to gwiazda błyszczy na wschodzie,
Gwiazda nowego imienia?.
Mędrcy wołają: „ciesz się narodzie
„To gwiazdka twego zbawienia!“
Biegną królowie — za jéj promieniem
A za królami — tłum ludów
Bo im ta gwiazdka świéci zbawieniem,
Bo im zwiastuje cud cudów!

Ten co nam miał być późniéj przykładem
W wielkości i poświęceniu,
Dziś niezgłębionych wyroków składem
Zrodzon w nędzy — poniżeniu,
W garstce barłogu skrył świętą głowę,
Palmę świątłości, męczeństwa,
Co światu życie miała dać nowe,
Nad błędem odnieść zwycięztwa.

Zadrżała zbrodnia — bledną tyrany,
Gdyś Boże zstąpił na ziemię,

Wolen przesądów, złém niezmazany,
Ludzkie z nich wybawić plemię
I do człowieka zniżon postaci;
Wśród ziemskich cierpień i znoju,
Ucząc jak w bliźnich, kochać współbraci,
Rzucić nam gałęź pokoju.

Jak czcić winniśmy — nie urodzenie,
Lecz osobistą zasługę
W nędzarzu Twoje widzieć stworzenie,
Słodzić mu przykrą żeglugę
Jak mamy Ciebie o wielki Boże!
Nad wszystko wielbić, miłować
Ciérniste życie, zrywając róże
Stałość męczeńską zachować.

Panie! ta gwiazdka co mędrców wiódła,
Do Chrystusowéj kołyski,
Niech nas do twego prowadzi źródła,
Światowe przyćmi połyski.
Do ostatniego życia poniku,
Boskiego światła udziela;
Byśmy téż zaszli po jéj promyku,
Do stóp świętych Zbawiciela!

## 3.

## NA NOWY ROK.

W morzu nieskończoności,
Kropla ciekąc — tonie
Rok stary na wieczności
Obumiéra łonie.

Rok błędów — utrapienia,
Dziwacznych kolei,
Łez, rozkoszy, cierpienia,
Wiary i nadziei!

Roku nowego zorza
Złotym blaskiem świta
Pośród niebios przestworza,
Niech nam z niéj wykwita:

Palma pokoju błoga,
My robaki ziemi
Błagamy Ciebie Boga,
Modły gorącemi!

Niechaj na dnie głębokiém,
Łzy, winy, cierpienia,
Z starym utoną rokiem
W falach zapomnienia.

Niech słońce — co wesoło
Dziś na nowo wschodzi,
Nadzieją smętne czoło,
Myśl wiarą odmłodzi.

Miłości bratniéj zgodą
Niech ludzkie tchnie plemie,
Błogosławieństw swobodą,
Racz obdarzyć ziemię!

## 4.

## NA WIELKI PIĄTEK.

Piątek był — ledwo zorza,
Zarannéj godziny
Zwiészała się na wzgórza,
Pięknéj Palestyny.

Z murów Jerozolimy
Sypał się lud mnogi,
Do Kalwaryi z Solimy
Wszystkie zalégł drogi.

I w ponurém milczeniu,
Z wolna postępował,
Jak gdyby się w sumieniu,
Jeszcze z czémś rachował.

To znów jak Oceanu,
Wzburzonego wały,
Już zbrodniczego planu,
Spełnieniem zuchwały:

Chuczał — i z najdzikszemi,
Krzykami rozpusty,
Tysiąc obelg sprosnemi,
W koło miotał usty.

Stanęli — oko wryte,
W szczyt góry Golgoty
Gdzie stały w ziemię wbite,
Trzy godła sromoty!

Trzy krzyże! — na dwóch; — w jękach
Dwoch łotrów konało,
Na trzecim mdleje w mękach
Chrystusowe ciało!

Na głowie laur męczeński,
Nad nim ryte zgłoski:
„To Jezus Nazareński
„To jest król żydowski!“

W twarzy wyraz poddania
Z łzą litości w oku;
Przyjmuje urągania,
Od szyderców tłoku.

Cichy uśmiéch cierpienia
Błąkał się na czole,
Gdzie miłość poświęcenia,
Przezwycięża bóle.

Jakby nieczuł ich wcale
Udziela pociechy,
Łotrowi co swe żale
Wywiérał za grzéchy.

Matkę co u stóp krzyża
W łzach boleści tonie,
Ucznia który się zbliża,
Porucza obronie.

W reszcie z ciała niemocą,
I dusza słabnieje,
Z zbliżającą się nocą,
Kwiat życia więdnieje.

Dłużéj wstrzymać niemoże
Bieg żałości puścił,
Wołając. „Boże! Boże!
„Czemuś mnie opuścił?!“

Westchnął — a to westchnienie
Z ziemskiego pokrycia,
Do Ojca nad sklepienie,
Skrę uniosło życia!

Z nią ziemia żyć przestała,
Zmartwiał bieg natury,
Twarda pada się skała,
Nocy cień ponury,

Przyćmił słoneczne zdroje,
Dzień blednieje kona,
W świątyni się na dwoje
Przedziéra zasłona.

Jak na dnie oceanu,
Cichość uroczysta,
Wyniosły cedr Libanu
Palma rozłożysta.

Schylając liść ku ziemi,
Szanuje tę ciszę,
I gałązki wonnemi,
Więcéj niekołysze....

Między rzeszą zdumioną
Z wiarą wzrasta trwoga,
Że srodze umęczono,
Zbawiciela Boga!

Jezu niech śmierci Twojéj
Rozpamiętywanie,
Serca nasze uzbroi
W ciérpliwość poddanie.

Przejmie dla Ciebie Panie
Wdzięcznością bez miary!
Utwierdza przekonanie
Twojéj świętéj wiary,

W dolegliwościach trwodze,
Doda nam otuchy,
W namiętnéj życia drodze
Słabe wzmacnia duchy!

## 5.

## ZMARTWYCHWSTANIE.

Milkną pienia tłumu — niemy głuchnie dzwon,
Ludy Zbawiciela, opłakują skon,
Łzami popełniony obmywając grzéch,
W szczéry żal i skruchę, zamienili śmiéch,
Całónem się oblókł chrześcijański świat,
Głuche dnie żałoby, długość mają lat!
Ziemia koło osi, trzeci kończy bieg,
Trzecie słońce kryje — twarz za ziemi brzég
Ozwały się pienia — niemy jęknął dzwon,
Dla ludów zbawienia
Bóg zwyciężył skon!
Wesela krzew błogi, w nowy pierzchnął kwiat,
Weselem odetchnął chrześcijański swiat!
Przez Twe cierpienia, śmierć i zmartwychwstanie
Jak grzéch zwyciężyć — wskazałeś nam Panie,
Ale czyżeśmy na to zasłużyli?.
Czyśmy dla tego dusze oczyścili,
Z pleśni i kałów, wyznając je Bogu,

Byśmy na zawsze, powstali z nałogu?
Ach! nie — o Boże! bo świata połowa,
Na nowo ciebie obrażać gotowa,
W serca pokorze, ja błagam Cię Panie,
Jeżeli na dnie mój duszy zostanie,
Miłości własnéj i świata próżności,
Lub jakiéjkolwiek iskra złéj skłonności
Nim Ciebie grzéchy obrażę nowemi,
Boże mój Boże! weź mnie z téj ziemi!.

## 6.

## NA ZIELONE ŚWIĄTKI.

Mgła gruba zaślepienia,
Jeszcze ćmiła światy,
Odpychając promienia
Duchowéj oświaty.

Jednak mimo przesądów
Zbawiciela słowo,
Wśród prześladowań sądów,
Szérzy wiarę nową.

Nadszedł dzień pięćdziesiętny,
Starego zwyczaju;
Od Mojżesza pamiętny,
W Izraelskim kraju.

Bo w niém z przykazaniami,
Przyniósł im tablice,
Więc, dnia tego modłami
Święcili rocznicę.

Lud nowego wyznania.
W miejscu téj pamiątki,
Pańskiego zmartwychwstania,
Z uczniami czcił świątki.

Nagle — szum niesłychany,
Powstał nad ich głowy;
Jasności blask nieznany
Widok wcale nowy.

Aż do świata padołów
Niebiosa przedziéra,
Na głowach Apostołów,
Światło rozpościéra.

Duch niebiańskiéj światłości,
Nędzną zwiédził ziemię!
Duch nadziei — radości —
W ludzkie wstąpił plemię!

Światłości Duchu święty!
Z ciemności wołamy:
W mądrości niepojęty,
Kieruj wiecznie nami!

Serca nasze — i zmysły,
Owładnij łaskawie,
A dusze, i umysły
W twém oświécaj prawie.

Duchu światła i mocy!
Wśród żądz ziemskich tłumu,
I pośród błędów nocy,
Udziel nam rozumu.

Tak do pełnienia cnoty,
Jak i powołania;
Zachowaj od ślepoty,
Dumy urągania.

Duchu prawdy — miłości
Od fałszu ułudy,
Kłamstwa wszelkiéj podłości
Chroń nas od obłudy.

Duchu Wiary, osłody!
W pielgrzymce téj ziemi,
Pozwól nam stałéj zgody,
Używać z bliźniemi.

Daj moc do wykonania
Twojego natchnienia,
A po życiu wygnania,
Użycz nam zbawienia.

240/I/8



## 7.

## HIMN DO MATKI BOSKIEJ.

Bogarodzico dziewico!
Ty odrodziłaś świat
Z Ciebie światłości źrenico,
Zbawienia wyrósł nam kwiat!

Matko! w opiece miéj ten kraj,
Matko! wierny wspiéraj lud,
Pobożność, pokorę daj,
Ziemski pomóż dźwigać trud!

Matko! w opiece miéj ten kraj,
Matko! etc.

Twe oko święte ku nam zwróć,
Do syna za nas się wstaw,
Pociechy kroplę grzésznym rzuć,
U Boga łaskę nam spraw!

Obyśmy z Ciebie biorąc wzór,
Czcili czystość Twoich cnót,
W ich święty wstępując tór,
Do niebieskich doszli wrót!

Obyśmy z Ciebie etc.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W TORUNIU

Biblioteka Główna UMK
300020952086